



BETHANY CAMPBELL



*Świąteczny
gość*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Grudniowy mróz pokrył okna werandy baśniowym deseniem.

Abbie przykucnęła przy grzejniku i podała zrebakowi butelkę. Musiała mu podtrzymać pyszczek, żeby pokarm nie zabrudził bielutkiej sierści.

Wolała nie patrzeć na ojca. Ostatnio ciągle się kłócili. Sprowokował ją jednak swoim nagłym wejściem i milczącą obecnością, podniosła więc głowę, spoglądając na niego pytająco.

- Co takiego?

- Dziś wieczorem przyjeżdża tu Connley, rzeczoznawca - wyjaśnił stanowczym tonem. - Nie życzę sobie żadnych wybuchów złości z twojej strony. Ma się tu czuć, jak u siebie.

Dziewczyna nagle znieruchomiała. Poczowała chłód w sercu, jakby mróz wtargnął do wnętrza.

- Dlaczego mnie nie uprzedziłeś? - rzuciła.

Czuła się zdradzona, oszukana. Boże Narodzenie i tak będzie okropne, a teraz jeszcze taka niespodzianka ze strony ojca...

- Słuchaj, on ma bardzo dużo zleceń. Sam nie był pewien, czy uda mu się przyjechać. Zdaję sobie sprawę, że to cię zaskoczyło, tym niemniej traktuj go uprzejmie - nalegał.

- Niedawno mówiłeś, że przyjedzie później. Jeśli chcesz oszczędzić mi przykrości, lepiej go trzymaj z dala ode mnie. W końcu to nie ja go zapraszałam, nie poczuwam się do niczego.

- Abbie! - głos ojca był pełen irytacji.

- Ja tylko uprzedzam - upierała się przy swoim.

- To twój pomysł. Nie życzę sobie, żeby jakiś obcy typ grzebał w rzeczach dziadka, zwłaszcza w Boże Narodzenie!

Karmienie źrebaka wyczerpało ją, miała obolałe ręce. Podniosła butelkę, żeby sprawdzić jej zawartość. Żrebię wypilo zaledwie połowę mleka, zmieszanego z antybiotykami. Ciężko wzdychając, Abbie usiadła i ułożyła głowę zwierzęcia na swoich kolanach. Była to niewygodna pozycja, ale dzięki niej mogła dla odmiany trzymać butelkę w prawej ręce, podczas gdy lewą głaskała szorstką sierść pupila. Popatrzyła na jego sterczące żebra i zatroskana pokręciła głową. Był bardzo mały, mizerny i schorowany, ale uparła się, że nie pozwoli mu zginąć.

Kątem oka zauważyła, że ojciec ją obserwuje. Frazier Hale był potężnym, pięćdziesięciodziewięcioletnim mężczyzną. Rysy jego twarzy nosiły ślady zmagania z surowym klimatem Nebraski. W przeciwieństwie do swoich starszych braci Abbie nie była podobna do ojca. Niska, niebieskooka blondynka przypominała matkę, wywoływała wspomnienie tamtej kobiety, zwłaszcza jej subtelną twarz, ale również - uczuciowość i wielkie przywiązanie do ziemi. Ranczo stanowiło dla Abbie prawdziwe królestwo, ogromnie je kochała. Jako jedyna z rodzeństwa miała też niezwykle buntowniczą naturę. Ta cecha, jak często mawiał jej ojciec, łączyła ją z dziadkiem.

Ojciec Fraziera, Mylo Swenson Hale, był niezależny aż do przesady i uparty jak kozioł. Mieszkał z nimi, gdy Abbie była jeszcze niemowlęciem i wyraźnie faworyzował swą jedyną wnuczkę, bo, jak zwykł powtarzać, ona wie, czego chce. Zupełnie, jak on sam.

Mylo zmarł przed trzema miesiącami. Jego śmierć głęboko wstrząsnęła dziewczyną. Wspominała go bez przerwy. Naśmiewałby się z tego źrebaka, myślała, dokuczałby mi niemiłosiernie, ale na pewno stanąłby w obronie mizeroty.

Żrebak zasnął z głową na kolanach Abbie, opróżniwszy najpierw butelkę. Ułożyła go na posłaniu ze słomy, które przygotowała w kącie na werandzie, po czym wstała, otrzepując dżinsy.

Miała śliczną twarz. Zadarty nosek i pełne usta dodawały jej wdzięku, a ciemna oprawa oczu wyraźnie kontrastowała z jasnymi włosami.

Od czasu, gdy przed kilkoma dniami urodził się źrebak, nie przespała ani jednej nocy. Ojciec narzekał, że każdy rozsądnie myślący człowiek uwolniłby to zwierzę od cierpienia, pozwoliłby mu zginąć, tylko Abbie z właściwym sobie uporem postanowiła źrebie ratować.

- Jedyne ty mogłaś się zdobyć na taki wysiłek - powiedział z wyrzutem i rezygnacją, patrząc na wyraźnie rysujące się zebra śpiącego stworzenia.

Pomyślała, że jej matka postąpiłaby tak samo. Czyżby tata już zapomniał? Nagle poczuła narastające przygnębienie. Brakowało jej dziadka i wciąż jeszcze tęskniła za matką, która nie żyła od kilkunastu lat. Kochała ojca, ale ostatnio nie najlepiej się między nimi układało. Uważał, że upiera się wciąż bez powodu i brak jej poczucia rzeczywistości.

Potarła zdrętwiałą rękę i spojrzała na niego z buntowniczą miną. Uśmiechnął się, ale udała, że tego nie widzi.

- Abbie - odezwał się, jakby odgadywał jej myśli.

- Wszystko się zmienia.

Jej niebieskie oczy, zwykle patrzące figlarnie, choć zdecydowanie, nabrały teraz wyrazu zawziętości.

Czuła, że nie powinna zaczynać tej rozmowy, ale była tak znużona, że nie panowała nad sobą.

- To jest nasz dom - powiedziała z naciskiem.

- Jak możesz go sprzedawać?

Potrząsnął głową ze smutkiem, bo cóż mógł poradzić? Wystawiał ranczo na sprzedaż, żeby kupić dom w mieście.

- Trzymałem gospodarstwo, dopóki żył twój dziadek, ale teraz sprzedaż jest nieunikniona.

- Ten dom należy do naszej rodziny od pięciu pokoleń - głos Abbie drżał ze wzruszenia. - A rzeczy dziadka? Jak możesz je sprzedawać? On je tak kochał!

Frazier usiłował zachować spokój.

- Przecież już to uzgodniliśmy. Chłopcy również wyrazili zgodę. Od pięciu lat ranczo przynosi straty. Jeśli tak dalej pójdzie, przepadnie wszystko! Nawet mój ojciec to rozumiał. Ze względu na niego wytrzymałem tu tak długo. Teraz już nie żyje, a razem z nim odeszły dawne dobre czasy, kiedy mogliśmy się utrzymać, pracując na ranczu. Od dawna mówiono, że Zarząd Farmerów zacznie wykupować ziemię w tej okolicy. Po Nowym Roku pojawią się pierwsze oferty, dlatego teraz jest dobry moment. Chcę to sprzedać, dopóki jest szansa.

- Kolekcja dziadka nie ma z tym nic wspólnego - odparowała. - Dlaczego akurat dzisiaj ma tu przyjechać ktoś obcy? Obiecałeś przecież, że nikt się tu nie zjawi, dopóki nie sprzedamy domu. Lepiej więc niech ten człowiek trzyma się z daleka ode mnie. Nie chcę go w ogóle widzieć!

- Przecież próbowałem z tobą rozmawiać o kolekcji dziadka, ale nie chciałaś. Wysłuchaj mnie chociaż teraz. Nie mogę dopuścić do kłótni o majątek ani też zostawić cennych rzeczy dziadka wam wszystkim.

Chłopcy przyznają mi rację. Sprzedamy całość i wtedy podzielę pieniądze między was czworo...

W oczach Abbie pojawiły się łzy.

- Nie chcę żadnych pieniędzy! To tak, jakbyś sprzedawał duszę dziadka! On kochał te znaczki i monety...

- Znaczkami nie zapłacę świadczeń. Za takie monety też nic nie kupisz. A ile masz pieniędzy w banku?

Abbie potrząsnęła przecząco głową i zacisnęła usta, jakby usiłowała powstrzymać cisnące się słowa. Dla niej nie istniała ekonomia ani logika, liczyły się tylko uczucia.

- Masz puste konto - przypomniał ojciec, przyglądając się jej badawczo. - Co by się stało, gdybym umarł? Co byś wówczas zrobiła? Zostałabyś z długami.

Uniosła głowę, ale nie odezwała się, bo cóż mogła powiedzieć?

- Zrobiłabyś wtedy to samo, co ja teraz. Nie miałabyś innego wyjścia. Chcę cię jakoś zabezpieczyć. Chłopcy też mogliby właśnie teraz wykorzystać pieniądze. Po co czekać, aż umrę? Jestem za was odpowiedzialny.

Odwróciła się, unikając wzroku ojca. Wiedziała, co powie i, co gorsza, przyznawała mu w duchu rację.

Frazier rozprostował ramiona, a jego twarz wyrażała jeszcze większą determinację.

- John chciałby mieć większą rodzinę, ale nie może, bo jako profesor bardzo mało zarabia, z trudem utrzymuje siebie i żonę. Preston ma jeszcze rok do ukończenia medycyny. Martwi się wciąż, że żona zbyt ciężko pracuje.

Abbie wsunęła ręce do kieszeni dzinsów. Każdemu z braci przydałoby się więcej pieniędzy. Zasłużyli sobie na lepszy los. Byli ambitni, zdolni i zdyscyplinowani, nie tak, jak ona. Żaden z nich nie chciał zostać w domu. Zawsze marzyli o czymś innym niż życie na ranczo. Tylko ona kochała to miejsce.

Zerknęła na niespokojnie śpiące źrebię. Było wątłe, wyglądało jak chucherko, aż przykro patrzeć. Poczula wzbierające łzy, ale stłumiła je, przenosząc wzrok na oszronione, zamrożone szyby.

Za oknami rozpościerały się ledwo widoczne równiny Nebraski, ponure w zimowej szacie. Trzeba się urodzić na tej ziemi, żeby uznać za piękny taki krajobraz. Ona kochała bezmiar przestrzeni, nigdy nie chciała opuszczać domu i wszystkiego, co go otacza, łącznie z rzeką Platte, okalającą ranczo od południa.

W przeciwieństwie do braci, nie pociągały jej studia. Wytrzymała na uczelni zaledwie sześć tygodni, po czym błagała rodzinę o pozwolenie na powrót do domu. W końcu ojciec zlitował się nad nią. Ukończyła kilka kursów w pobliskim Bison City, ale musiała udawać, że jest zainteresowana nauką.

Nudziła się na zajęciach. Wolała przebywać pod gołym niebem, niż ślęczeć nad książką.

Tylko dziadek aprobował jej wybór.

- Po cóż ma słuchać jakiegoś starego, nudnego profesora? Ziemia, stworzona przez Boga, jest najlepszą nauczycielką życia. Sam dzięki zbieraniu znaczków i monet o wiele lepiej poznałem geografię i politykę, niż gdybym przesiadywał w szkole. Zostawcie ją w spokoju.

Ale dziadka już nie było i odbierano jej to, co ceniła najbardziej. Ojciec powziął decyzję, a bracia, starsi i bardziej wykształceni, stanęli po jego stronie. Nikt się nie liczył z uczuciami Abbie.

Kiedy się wreszcie odezwała, usiłowała mówić spokojnie.

- Jestem zmęczona, nie mam ochoty na dalszą rozmowę. Muszę przede wszystkim zadbać o to źrebię i przygotować coś na święta. Nie starczy mi siły, żeby zajmować się jeszcze Connleyem. Przykro mi...

- Idź się przespać. Odpocznij trochę. Wykończysz się przez tego cholernego konia.

- Dobrze, już idę - szepnęła i ze spuszczoną głową, unikając jego wzroku, ruszyła do swego pokoju.

Zatrzymał ją jednak, kładąc rękę na jej ramieniu.

- Wierz mi, robię to przede wszystkim dla ciebie, naprawdę. Spróbuj się chociaż zdobyć na uprzejmość dla mojego gościa, który niczemu nie jest winien - rzekł, ściskając ją lekko, jakby w ten sposób próbował dodać jej siły.

Chciała się uśmiechnąć, ale wypadło to dość blado.

- Posłuchaj, tatusiu - zaczęła tonem pełnym rezygnacji i goryczy. - Jestem zaskoczona, przecież nie uprzedziłeś mnie, że ktoś przyjedzie. Jak mogłeś przypuszczać, że tak łatwo się pogodzę ze sprzedażą rancza i podziałem kolekcji? Zresztą... co za różnica, przecież i tak niedługo wyjdę za mąż i kiedyś na pewno ja i Lucky kupimy sobie ranczo.

Wiedziała, że samo imię chłopaka wyprowadzi ojca z równowagi. Lucky Gibbs był jej narzeczoną, no, prawie. Był jeźdźcem na rodeo i Frazier od samego początku nie aprobował ich związku. Bracia też szydzili z niego, ale Abbie z tym większą zaciętością broniła go. Tylko dziadek był po jej stronie, a przecież z jego zdaniem najbardziej się liczyła.

- Jest wytrwały, dociekliwy i ambitny - mawiał. - Ma głowę na karku. Na pewno daleko zajdzie.

Gdy wspomniała o Luckym, ojciec cofnął rękę z jej ramienia.

- Do diabła, Abbie! Jeżeli mu na tobie naprawdę zależy, dlaczego nie przyjedzie na Boże Narodzenie?

Czemu nie dał ci pierścionka zaręczynowego? Uważasz, że bracia nie dbają o ciebie, ale oni przynajmniej przyjadą na święta. Gibbs jakoś się nie kwapi.

- Nie mów o nim w ten sposób - rzuciła, patrząc na ojca ze złością.

Wytrzymał jej spojrzenie, tylko twarz mu dziwnie sposepniała.

- Przecież to ty zaczęłaś. Mnie chodzi tylko o Connleya. Nie wyładowuj na nim swej złości. Będzie miał mnóstwo pracy, musi przejrzeć i wycenić wszystkie monety i znaczki. Przyjeżdża z daleka, więc traktuj go dobrze. Chyba tyle możesz mi przyrzec?

Zawahała się. Była zbyt zmęczona, żeby się silić na uprzejmość.

- Nie mogę nic przyrzec. Nawet nie prosz o to.

- Abbie, przysięgam, że to dla twojego dobra. Odsunęła się gwałtownie.

- Nic ci nie obiecuję. Absolutnie nic. Zejdź mi z drogi.

Gdy znalazła się w swoim pokoju, natychmiast rzuciła się na łóżko. Nastawiła jeszcze budzik, chcąc nakarmić żrebaka za półtorej godziny, i położyła się, zakrywając rękoma oczy pełne łez. Jednak nie mogła zasnąć.

Ojciec zakazał jej prosić o pomoc przy żrebaku Mingusa, robotnika najemnego. Syn Mingusa, którego również wynajęto do pracy na ranczu, złamał nogę i leżał w szpitalu, dlatego Frazier i Mingus pracowali od świtu do nocy.

Wiedziała, że tata wcale nie jest taki surowy, tylko pod wpływem wydarzeń stawał się zimny i uparty. Borykał się z wieloma trudnościami. Sytuacja rancza była rzeczywiście opłakana. Coraz więcej rodzin pozbywało się ziemi. Niezwykle surowa w tym regionie przyroda, trudna do okiełznania, kapryśna, doprowadzała farmerów do ruiny.

Stara klacz, o imieniu Sprint, również przysparzała Frazierowi dużo kłopotu. Przez wiele lat uznawano ją za bezpłodną. Całkiem niespodziewanie, gdy miała już dwadzieścia jeden lat, wydała na świat źrebię. Na domiar złego stało się to teraz, zimą. Sprint była dereszem bez szczególnego rodowodu, nie wyróżniającym się niczym specjalnym. Trzymano ją na farmie tylko dlatego, że Abbie bardzo ją lubiła, gdyż była niegdyś ulubionym koniem jej matki.

Źrebię urodziło się przedwcześnie i wystraszyło nawet samą klacz. Odrzuciła je, nie miała dla niego pokarmu. Na ranczu była wprowadzie inna karmiąca kobyła, która miała młode jesienią, ale maleństwo było tak słabe, że nawet nie mogło stać o własnych siłach, w dodatku przyplątała mu się jakaś infekcja, która w każdej chwili mogła przejść w zapalenie płuc.

Frazier stwierdził cynicznie, że źrebię i tak zdechnie, nie ma więc sensu go ratować. A jeśli nawet jakimś cudem przeżyje, jakież miałoby pożytek z takiej lichoty?

- Pozwól mu zginąć. Tak będzie dla niego najlepiej.

Abbie uznała, że wszystkie argumenty ojca są słuszne, prócz jednego: to źrebię chciało żyć, ona to czuła. Musiała mu pomóc. Miała trochę oszczędności, zarobionych na tresowaniu koni i dawaniu lekcji jazdy. Ojciec kręcił tylko głową, widząc, że córka wydaje je na weterynarza, mleko i antybiotyki.

Teraz leżała w łóżku z bólem głowy, nie mogąc zasnąć. Zbyt wiele spraw ją nękało, a sytuację pogarszał jeszcze przyjazd Connleya.

Dziadek gromadził swoje zbiory przez ponad czterdzieści lat. Znaczki, a szczególnie monety, nie były dla niego zwykłymi przedmiotami. Przypisywał im magiczną moc, każda z nich żyła własnym życiem, miała własną historię,

budziła wspomnienia. Rzeczoznawca, niczym zły czarownik, znów je przemieni w zwykłe, martwe kawałki materii. Wszystko stanie się nieważne, z wyjątkiem etykietek z ceną.

Abbie przewróciła się na bok i zacisnęła kurczowo palce na brzegu poduszki. Dlaczego Connley przyjeżdża właśnie teraz, gdy jest tak przygnębiona? Czemu tak często kłóć się z ojcem? I to przed świętami Bożego Narodzenia, ostatnimi na ranczu!

Chorowite źrebię stało się dla niej symbolem wszystkiego, o przeżycie czego chciała walczyć: rancza i jej życia na nim, pamięci matki i dziadka.

A Lucky? Wiedziała, że to walczące o przeżycie źrebię, które ojciec traktował jedynie jako jej kolejny kaprys, symbolizuje również jej lojalność wobec Lucky'ego. Żałowała, że nie mogą być teraz razem. Był jej tak potrzebny! Kiedy wreszcie przyjedzie i zostanie na zawsze?

Otworzyła oczy i zerknęła na zdjęcie chłopaka, stojące na stoliku nocnym. Zrobiła je rok wcześniej, podczas rodeo Ak-Sar-Ben w Omaha. Miał na sobie turkusową koszulę, a pasek dżinsów zdobiła mistrzowska złota kłamra - nagroda za ujeżdżanie byków. Zsunięty na bakier kapelusz zakrywał blond włosy, których pojedyncze skręcone kosmyki wymykały się jednak, opadając na kołnierzyk. Lucky Gibbs był wyjątkowo ładnym młodzieńcem.

- Byłaby z niego śliczna dziewczyna - powiedział kiedyś Adon, brat Abbie.

Patrząc na zdjęcie, uśmiechnęła się po raz pierwszy tego dnia. Poznała Lucky'ego na rodeo w Bison City, półtora roku temu. Zobaczyła go podczas uroczystej parady, rozpoczynającej rodeo. Jechał na wspaniałym palomino. Nagle koń stanął dęba, a Lucky uśmiechnął się w taki sposób, że zakochała się od pierwszego wejrzenia. W czasie ostatniego występu szarżował, jednocześnie kłaniając się publiczności i drażniąc byka. Wtem zwierzę ruszyło na niego z oszałamiającą szybkością i w mgnieniu oka przerzuciło go przez ogrodzenie stadionu, łamiąc mu dwa żebra i obojczyk.

Cały miesiąc Lucky był unieruchomiony, tkwił więc bez celu w Bison City, a gdy już wolno mu było chodzić, spędzał czas, zalecając się do Abbie. Zanim wyjechał, nieoficjalnie zaręczyli się.

- Wrócę do ciebie - przyrzekał - jak tylko zarobię dosyć pieniędzy, byśmy się mogli jakoś urządzać. Wrócę, a wtedy kupimy sobie ranczo, gdzieś w pobliżu, w tych stronach.

Kowboj, jeżdżący na rodeo, był z konieczności włóczęgą, mógł całymi latami szukać szansy zdobycia pieniędzy. Lucky nie rezygnował jednak z żadnej takiej okazji. Wracał do Abbie, kiedy mógł, ale były to nader rzadkie wizyty. Nigdy też nie zarobił tyle, żeby mogły ziścić się marzenia o kupnie rancza. Nie było go nawet stać na pierścionek zaręczynowy. Co najgorsze, nie przyjedzie na Boże Narodzenie.

Ojciec mówił z pogardą, że Lucky nigdy nie będzie zarabiał, gdyż jest nieodpowiedzialny i należy do tych, którzy nie potrafią się ustatkować.

Nagle zaświtała jej w głowie dziwna myśl. Skoro kolekcje mają być sprzedane, a pieniądze podzielone, może ta kwota wystarczy na kupno rancza dla niej i Lucky'ego? Wtedy wreszcie porzuciłby rodeo i poślubiłby ją?

Westchnęła i zamknęła oczy. Nie, nawet nie powinna o tym myśleć. To byłoby nieuczciwe wobec dziadka, sprzeczne z ich wspólnymi przekonaniem i ideałami. Z drugiej strony, mógłby mu się spodobać ten pomysł. Byłby wściekły z powodu podziału i spieniężenia zbiorów, ale chciałby widzieć, że jest szczęśliwa, bez względu na to, co mówiłby jej ojciec. Wtedy mieszkałaby na ranczu, nie musiałaby go opuszczać.

Na wpół śniąc, pomyślała o chorym źrebaku. Wkrótce znów musi wstać, żeby się nim zająć.

- Musi przeżyć - szeptała niemal bezgłośnie.

Jednocześnie uświadomiła sobie, że ma na myśli nie tylko źrebię, ale wszystko, co jest dla niej cenne. Niestety, gdy wstała w porze karmienia,

okazało się, że źrebakowi się pogorszyło. Drżał z zimna, przymykał powieki, rzęził i charczał.

ROZDZIAŁ DRUGI

W słabym świetle werandy wychudzony źrebak wyglądał upiornie. Przysunęła do niego grzejnik i podkręciła termostat. Pobiegła do swego pokoju i przyniosła na werandę koce. Źrebak wzdrygnął się, gdy go okrywała.

Weszła do salonu, żeby zadzwonić do weterynarza. Nie zastanawiała się, skąd weźmie pieniądze, po prostu nie mogła znieść widoku ginącego zwierzęcia.

Kolejną godzinę pamiętała później jak przez mgłę. Wally Bishop przyjechał błyskawicznie, ale jej się wydawało, że minęła cała wieczność, zanim pojawił się na ranczu. Wstrzyknął zwierzęciu antybiotyki, potem zaaplikował jeszcze jakieś lekarstwo za pomocą sondy, którą wsunął mu do nozdrzy. Abbie wykrzywiła twarz w odruchu współczucia. Pomyślała, czy przypadkiem ojciec nie miał racji, mówiąc, że lepiej pozwolić biedactwu zginąć, niż przedłużać jego cierpienie.

Wally troskliwie zajął się pacjentem, ale wyraz jego twarzy nie wróżył nic dobrego. W końcu powiedział, że najlepiej byłoby zawieźć źrebię do kliniki dla zwierząt, gdzie znajduje się oddział patologii ciąży. Po chwili zastanowienia stwierdził jednak, że w pobliżu nie ma takiego szpitala. Serce Abbie zamarło ze strachu. Czy to znaczy, że nie ma już ratunku?

- Innym rozwiązaniem byłoby zabranie go do mojej własnej kliniki - stwierdził Wally. - Zastosowałbym wtedy leczenie dożylne, ale musiałbym go monitorować przez co najmniej dobę, może nawet dłużej. Nie mam odpowiedniego personelu i, szczerze mówiąc, kosztowałoby to majątek, a i tak nie mógłbym zagwarantować, że on przeżyje.

Abbie spojrzała na źrebę. Było przytomne. Wally próbował mu wmusić lekarstwo, ale biedactwo było zbyt słabe.

Nie umieraj, Frosty myślała gorączkowo, nawet sobie nie uświadamiając, że nadała mu imię.

Weterynarz, klęcząc nad źrebakiem, podniósł na nią wzrok. Miał sympatyczną twarz, ale w tej chwili słabe światło, dochodzące z salonu, rzucało na nią złowróżbny cień.

- Jest jeszcze jedna możliwość - zaczął bez entuzjazmu - ale niełatwo mi to proponować. Mógłbym zainstalować bardzo prowizoryczny zestaw do leczenia dożylnego, musiałybyś jednak czuwać przy nim przez cały czas, choć i tak nie ręczę za powodzenie. Jeśli wda się zapalenie płuc, a tego nie możemy wykluczyć, nic się już nie da zrobić. A przecież ty już teraz padasz ze zmęczenia!

Źreback nieco uniósł głowę i otworzył ślepią, rzucając na Abbie wystraszone spojrzenie. - Chcę żyć! - Mogłaby przysiąc, że to właśnie usiłował jej powiedzieć.

- Biedactwo - szepnęła. Wyprostowała się i wsunęła ręce do kieszeni dżinsów.

- Musimy spróbować - zwróciła się do Wally'ego. - Nie wolno rezygnować.

- Jesteś wyczerpana. Twój ojciec będzie na mnie wściekły.

- Dam sobie z nim radę - ucięła. - Zrób, co trzeba i powiedz mi dokładnie, co mam robić.

Wally zawahał się, ale przyniósł z samochodu zestaw przyrządów, które wyglądały w oczach Abbie niczym narzędzia tortur. Pokazał jej pojemnik z płynem zawierającym antybiotyki. Włożył kateter do żyły na szyi źrebaka i przykleił plaster. Potem poinstruował ją, jak należy wymieniać ów pojemnik. Miała robić zastrzyk co cztery godziny i podawać pokarm za pomocą sondy co dwie godziny. Musi oczywiście pilnować Frosty'ego, żeby nie wyleciał mu

kateter, gdyby poczuł nagły przyływ siły i zaczął nadmiernie kopać, albo odwrotnie, gdyby miał atak. Przyciągnął jeszcze ze stodoły sporo siana i razem wymościł wokół żrebaka ściankę, tworząc rodzaj osłony, zabezpieczającej go przed zimnem. Gdy wreszcie weterynarz był gotów do odjazdu, odwrócił się jeszcze do Abbie, mówiąc:

- Nie jestem pewien, czy dobrze robię. Nie powinnaś mieć zbyt wielkiej nadziei.

- Zdaję sobie sprawę z sytuacji.

Odprowadziła go, rzucając przedtem niespokojne spojrzenie na żrebaka. Leżał w miarę spokojnie, ale od czasu do czasu wstrząsały nim dreszcze. Gdy doszli do wyjścia, położyła Wally'emu rękę na ramieniu.

- Co do zapłaty... - zaczęła zakłopotana, ale lekarz przerwał jej.

- O tym pomyślimy później. Moja córka marzy o lekcjach jazdy konnej. Moglibyśmy zacząć wiosną, jakoś się dogadamy.

Dopiero, gdy została sama, zastanowiło ją, gdzie jest ojciec. Najpierw pomyślała, że, jak zwykle, pracuje z Mingusem, ale była już prawie siódma, minęła pora kolacji. Gdzież on się może podziewać?

Nagle przypomniała sobie o rzeczoznawcy. W duchu przeklinała tego człowieka. Prawdopodobnie Frazier pojechał po niego na lotnisko. Westchnęła, myśląc, że teraz przynajmniej ma wymówkę, aby się trzymać z dala od Connleya. Przecież póki żreback będzie żył, musi się nim zajmować.

Poszła po śpiwór do pokoju, który kiedyś należał do jej brata, Adona. Wzięła stamtąd poduszkę i kurtkę. Chociaż włączyła grzejnik, na werandzie było zimno.

Sprawdziła, czy Frosty śpi, po czym wróciła do pokoju po budzik. Nie może przegapić pory karmienia, zastrzyków i wymiany płynu. Zatrzymała się na chwilę w kuchni, wypła coś i zjadła kilka sucharów. Nie pamiętała już, kiedy ostatnio miała coś w ustach.

Zdrzemnęła się. Obudziła się o dziewiątej, żeby nakarmić Frosty'ego, o jedenastej znów wstała, by wymienić pojemnik z płynem i zrobić zastrzyk. Zorientowała się, że ojciec jeszcze nie wrócił, ale była zbyt zmęczona, by zastanawiać się, dlaczego.

Na werandzie robiło się coraz zimniej. Przysunęła swój śpiwór bliżej żrebaka i przytuliła się do niego. W ten sposób obojgu było cieplej. Śniło jej się, że leży w ramionach Lucky'ego. Czowała się bezpiecznie, przecież był silny, jak mocna była ich miłość. Obroniłby ją przed każdym niebezpieczeństwem.

Samolot wylądował w Bison City z kilkugodzinnym opóźnieniem, spowodowanym złą pogodą. Był mały, mógł zmieścić najwyżej trzynaście osób. Siedział w nim tylko jeden pasażer - mężczyzna ubrany w trzyczęściowy garnitur, palto i eleganckie rękawiczki. W rękę trzymał przenośny komputer. Gdy wysiadł z samolotu, skulił się odruchowo pod uderzeniem mroźnego wiatru i ruszył szybko w stronę terminalu, przecinając pas startowy.

Przez duże okna dostrzegł potężnego mężczyznę w obszernej kurtce, długich butach i kowbojskim kapeluszu. Z bliska widać było, że oczekujący zmarzł, nie krył też zniecierpliwienia.

Pasażer skinął mu głową na powitanie.

- Frazier Hale? - stwierdził raczej, niż zapytał.

- Michael Y. Connley?

- Yates - poprawił. - Mówią na mnie Yates. Przez chwilę obserwowali się nawzajem. Hale pierwszy odwrócił głowę.

- Bagaż? - spytał krótko.

Podróżny skinął głową, po czym skierował wzrok w stronę pustego holu lotniska. Walizek jeszcze nie było.

Nie rozmawiali o opóźnieniu samolotu, którego przyczynę obydwaj znali. Wystartował z Lincoln kilka godzin później z powodu burzy śnieżnej. Teraz, o drugiej w nocy, milcząc czekali na bagaż. Hale wyglądał na zmęczonego, miał podkrążone oczy, pochylone plecy. Connley przeciwnie, sprawiał wrażenie

człowieka tryskającego energią, jak zawodowy żołnierz, gotów w każdej chwili błyskawicznie przystąpić do akcji.

Był ubrany w lekkie, szyte na miarę palto, okazał się tak barczysty, jak Hale. Nawet w eleganckich półbutach sprawiał wrażenie nieco wyższego od Hale'a, który miał kowbojskie buty na obcasach. Kręcone, czarne włosy Connleya były starannie przystrzyżone.

Frazier popatrzył na niego z ukosa, niemal wrogo.

- Sądziłem, że jest pan starszy - przyznał.

- Mam doświadczenie, jeśli o to chodzi - zapewnił Yates bezbarwnym głosem, chociaż w głębi duszy pomyślał, że mógłby się poczuć urażony, bo miał już przecież trzydzieści lat.

- Czy aby na pewno zna się pan na rzeczy? - powątpiewał wciąż Hale, spoglądając na aparacik słuchowy w prawym uchu Yatesa.

- Mówią, że jestem dobry w swoim fachu.

- Przepraszam. Nie grzeszę uprzejmością, ale to вина zmęczenia.

Próbowałem zasnąć na plastikowym krześle w poczekalni, ale nie udało mi się. Lubię się wygodnie wyciągnąć.

Yates wyrozumiale pokiwał głową. Sam potrzebował niewiele snu i mógł zasnąć gdziekolwiek, jak kot. W gruncie rzeczy nie spał od osiemnastu godzin.

Nadal był detektywem, ale teraz pracował już tylko za biurkiem. Nie znosił tego. Wolałby, jak dawniej, brać udział w bezpośrednich akcjach. Zamierzał w najbliższym czasie porzucić nudne ślęczenie nad papierami i otworzyć własny interes. Ucieszył się jednak, gdy nadarzyła się okazja zakończenia sprawy Claridge'a i po to tu przyleciał.

Metalowe drzwi otworzyły się ze zgrzytem i ktoś z obsługi lotniska wepchnął dwie walizy. Yates wyciągnął wolną rękę po obydwa bagaże, ale Frazier uprzedził go, biorąc jeden z nich. Popatrzył niepewnie na palto Yatesa.

- Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko jeździe ciężarówką? - zapytał.

- Jeździłem w gorszych warunkach.

- Czy jadł pan coś w samolocie? Czekaając na lotnisku, kupiłem kilka hot dogów. Okropność! Lepiej unikać takich świństw! Przyrządzimy coś w domu.

- Nie jestem głodny.

Frazier otworzył drzwi i zaprowadził Yatesa na parking. Owionęło ich lodowate powietrze. Yates przeraził się, widząc, że para ulatuje mu z ust i mknie w ciemności. Pamiętał zimne noce, takie jak ta. Wspomnienie nieoczekiwanie wywołało w sercu ból.

Hale wrzucił bagaż na tył samochodu. Chciał też wziąć coś, co prawdopodobnie uznał za walizkę, ale Yates potrząsnął przecząco głową.

- To komputer - wyjaśnił. - Potrzymam go na kolanach.

- Taki mały? Czy pan też ma, za przeproszeniem, bzika na punkcie komputerów?

- Jest mi potrzebny.

Frazier westchnął, jakby chciał dać do zrozumienia, że świat stał się dla niego zbyt skomplikowany. Włączył bieg i wkrótce lotnisko, rozbłyskujące światłami, zostało daleko w tyle. Yates patrzył przez szybę. Za oknem zobaczył dwie ciemne płaszczyzny, niebo i ziemię, które trudno było odróżnić.

- Ile osób jest w domu? - zapytał.

- Tylko ja i córka - Frazier z zakłopotaniem wzruszył ramionami - ale niedługo przyjadą też synowie. Z moją córką trudno się będzie panu dogadać...

Yates nie zareagował. Słyszał o niej od jej brata, Adona, prawnika pracującego w kancelarii stanowej. Na tym etapie jeszcze nie można było podjąć żadnych oficjalnych kroków. Brakowało niezbitych dowodów, nie bardzo wiedziano, jak i gdzie ich szukać. Adon pamiętał sprawę Claridge'a i nawiązał kontakt z Yatesem. Ten zaś, gdy tylko poznał całą historię, nie mógł się oprzeć przecuciu, że nareszcie rozwikła zagadkę. Wiedział, że musi pojechać na ranczo, żeby osobiście się przekonać, czy podejrzenia są słuszne, nawet gdyby miał na to poświęcić swój prywatny czas i własne pieniądze.

Adon Hale był szczery. Uprzedził go, że siostra będzie oburzona dopuszczeniem kogoś obcego do rzeczy dziadka, niełatwo się na to zgodzi. Jest bardzo uczuciowa, może właśnie dlatego Lucky Gibbs zwrócił na nią uwagę.

- Trudno mi o tym mówić - mruknął Frazier - ale Abbie nie będzie zbyt uprzejma wobec pana. Już i tak jest na mnie zła, gdyż myślę o sprzedaży rancza. O kolekcje będzie się jeszcze bardziej pieklić.

- Poradzę sobie - powiedział Yates z przekonaniem, pewny swego.

Frazier spojrział na niego sceptycznie. Yates był całkowicie opanowany, najwyraźniej cynicznie traktował innych ludzi. Sądził, że łatwo można wyprowadzić ich w pole. Z dziewczyną też nie przewidywał większych kłopotów.

- Jest bardzo uparta - kontynuował Frazier.

- Stykam się z różnymi ludźmi - stwierdził Yates lakonicznie.

- Czyżby? - nie dowierzał Frazier. - Cóż, nie miał pan jeszcze do czynienia z Abbie. Jest nieugięta. Teraz akurat kuruje żrebaka na werandzie.

Yates wzruszył ramionami.

- Dobrze, że nie zna prawdziwego powodu mojego przyjazdu - stwierdził.

- Nie możemy dopuścić, żeby ostrzegła Gibbsa.

- Jestem pewien, że ona mnie obarczy winą za wszystko - rzekł ojciec głosem pełnym rezygnacji.

Yates powstrzymał się od komentarza. Wsunął rękę do kieszeni, by się upewnić, czy nie zapomniał okularów. Włożył je, chcąc się do nich przyzwyczaić. Frazier nie przestawał narzekać, a on słuchał uważnie. Był ciekaw, jak dalece dziewczyna orientuje się w sytuacji. Z tego, co opowiadał jej brat, wynikało, że nie jest współniczką Gibbsa. Nie tylko nie ponosi winy, ale sama jest ofiarą. Zdawał sobie sprawę, że to, co zamierza udowodnić, zrani ją, ale nie przejmował się zbyt. Nie ma innego wyjścia. Na początek musi zdobyć jej zaufanie, a może nawet skłoni ją do współpracy. Będzie ją dobrze traktować. Postara się sprawiać wrażenie człowieka delikatnego, szczerego i

niegroźnego. Nie pozwoli sobie na żadne osobiste zaangażowanie. W końcu to sprawa zawodowa.

Przybył na te ponure równiny w jednym celu: chce znaleźć dowód, dzięki któremu przyskrzyni Lucky'ego Gibbsa. Dopilnuje, aby ten oszust na długo wylądował za kratkami. Poszukiwano już Gibbsa w Teksasie, ale brakowało przeciwko niemu dostatecznej liczby dowodów. Teraz poszukuje się go w Nebrasce, a Yates oficjalnie reprezentuje sprawiedliwość w tym stanie.

Nie miał wątpliwości, że narzeczony Abbie to człowiek, którego szukał przez te wszystkie miesiące. Została tylko jedna osoba powiązana ze sprawą Claridge'a, której nie udało się zdemaskować, Gibbs, podróżujący po całych Stanach i Kanadzie, idealnie pasował do portretu poszukiwanego, chociaż nikt nie przypuszczał, że oskarżonym może być kowboj, zwłaszcza gdy rzecz dotyczy tak nietypowej sprawy.

Yates czuł, że się nie myli, że Lucky jest tym człowiekiem, którego ścigali, kurierem przewożącym skradzione rzeczy, głównym podejrzanym w sprawie. Yates kierował się także osobistymi pobudkami. W wyniku zamieszania, tamtej nocy, gdy pojмали Claridge'a, ktoś wystrzelił z karabinu tuż obok głowy Yatesa, po czym zbiegł. Miał szczęście, że nie stracił słuchu zupełnie. Przeżył, jednak przez tego bandytę nigdy już nie mógł obyć się bez aparatu słuchowego, ani pracować na ulicy, w bezpośredniej akcji.

Teraz już wiedział, kto jest poszukiwanym przez niego bandytą. Musiał jednak ustalić powiązania Gibbsa ze sprawą z Teksasu, ale to nie powinno sprawiać trudności. Lucky wykorzystywał dziewczynę, co do tego nie miał wątpliwości. Zabawne w tej sytuacji było to, że on też chciał się nią posłużyć, żeby wreszcie przyskrzynić bandytę. Z lubością myślał o zemście, na którą czekał od dawna.

Abbie wydawało się, że słyszy dzwonek budzika tuż po nastawieniu go. Na wpół przytomna wpatrywała się w świecącą tarczę zegara. Czy to możliwe? Już trzecia nad ranem! Ręce i nogi miała jak z waty. Wstała bez czucia i zapaliła

światło na werandzie. Palce zeszywniały jej z zimna. Żrebak poruszył się, gdy się nim zajęła, jakby mu sprawiała ból. Z żalu łzy napłynęły jej do oczu.

Zdołała jeszcze nastawić budzik na kolejne karmienie o piątej, po czym opadła na bok, tuląc się znów do żrebaka. Nagle przypomniała sobie, że ojciec powinien już wrócić z lotniska, ale nie miała siły wstać i sprawdzić, czy przyjechał. Zmorzył ją sen.

Obudziła się, czując zapach kawy i bekonu. Otworzyła oczy i podniosła głowę, zupełnie zdezorientowana. W salonie i kuchni paliło się światło. Z radia dochodził monotonny głos spikera, podającego aktualne ceny zwierząt hodowlanych. Podparła się na łokciach. Nie czuła zimna. Drzwi do salonu były otwarte, na werandę dochodziło ciepło. W powietrzu unosił się przyjemny zapach śniadania.

Frosty leżał wciąż na boku, ale gdy go dotknęła, kopnął lekko, a nawet próbował podnieść głowę. Oddychał spokojniej. Widać, że czuje się lepiej, pomyślała z zadowoleniem.

Przeciągnęła się i przetarła oczy. Była dopiero piąta, ale, o dziwo, nie czuła zmęczenia. Nakarmi żrebaka i pójdzie do kuchni napić się smakowicie pachnącej kawy. Ojciec musiał wstać bardzo wcześnie. To dziwne, że zaparzył kawę i smaży bekon. Ilekroć sam sobie robił śniadanie, poprzestawał na grzankach. Dlaczego jadł przed poranną pracą? Zwykle najpierw doglądał zwierząt, potem dopiero przychodził na posiłek.

Wyprostowała się i wtedy zauważyła, że jej cień stapia się z innym, znacznie większym. Odwróciła się z uśmiechem, by przywitać Frazierę.

Już otwierała usta, żeby coś powiedzieć, gdy nagle zamarła z przerażenia. W drzwiach stał obcy mężczyzna, przypatrując się jej. Był jeszcze wyższy od ojca, tak samo barczysty, ale znacznie szczuplejszy. W przyćmionym świetle nie widziała jego twarzy, zauważyła tylko, że ma gęste, krótko przystrzyżone włosy i jest ubrany jak człowiek z miasta, nie jak farmer.

- Cześć - przywitał się głosem dziwnie głębokim, którego dźwięk wywołał lęk w jej sercu. - Jak się czuje twoje zwierzątko? Napijesz się kawy?

Była tak oszołomiona, że wyrwało jej się zupełnie nielogiczne pytanie:

- Dlaczego pan smaży bekon?

Wyciągnął rękę do kontaktu i zapalił światło. Blask raził ją. Spojrzała spod oka na nieznanego, ostrzegawczo, niemal wrogo. Nie wiedziała, kim jest, ale jeśli zrobił krzywdę jej ojcu, zabije go. Nieważne, że jest taki potężny.

- Kim... - zaczęła, ale uprzedził ją.

- Connley. Dla przyjaciół Yates. Mam wyceniać kolekcje twojego dziadka.

Przyglądała mu się już bez lęku, choć nie bez złości. Napięcie z wolna znikało. Rzeczoznawca, no tak, przypomniawszy sobie. Nie myliła się, co do jego wzrostu. Był bardzo wysoki i szczupły. Zwykle czuła się nieswojo w obecności potężnych mężczyzn. Przypominali jej ojca i braci, oniesmielali ją. Lucky był niewiele wyższy od niej i to jej odpowiadało.

Podobieństwo Connleya do braci dotyczyło jedynie wzrostu. Miał czarne, kręcone włosy, śniadą cerę i ciemną oprawę oczu. Abbie oceniła, że wygląda egzotycznie, jakby pochodził z krajów śródziemnomorskich, może z Włoch? Bison City było zamieszkane przez jasnowłosych ludzi pochodzenia niemieckiego, skandynawskiego lub słowiańskiego.

Regularne rysy twarzy znamionowała jakaś surowość, nieugiętość. Znowu przemknęła jej przez głowę myśl, że wygląda jak Włoch, nie, jak Rzymianin z antycznych posągów. Nie była to twarz polityka ani poety, przypominał raczej woźnicę na rydwanie, kogoś, kto posiada niezwykłą zdolność koncentracji, widoczną w przenikliwym spojrzeniu. Zaraz jednak uznała tę myśl za idiotyzm. To jego spojrzenie jest iluzją, zwykłą grą światła. Wyraz nieustępliwości w oczach może być tylko pozorem. Przeciwno niemu świadczyły chociażby okulary. Miał na nosie szkła w drucianych oprawkach. Co więcej, zauważyła

osłupiała, Connley trzyma w ręku łyżkę i ma na sobie fartuch z organdy, obsyty falbankami!

- Dlaczego to włożyłeś?! - wykrzyknęła.

Adon podarował jej kiedyś ten fartuch na Boże Narodzenie, traktując prezent jako dowcip. Abbie nigdy nie odważyłaby się włożyć czegoś takiego!

Yates spojrzał z roztargnieniem, jakby już zapomniał, że w ogóle ma go na sobie.

- Akurat był pod ręką - powiedział od niechcienia.

Pokręciła głową, odgarniając włosy z czoła.

Pod fartuchem miał elegancki, ciemnoszary garnitur i nawet krawat, wprawdzie rozluźniony, co było jedyną oznaką pozwolenia sobie na pewien luz. Ależ elegant, pomyślała już odprężona, bo na widok łyżki i fartucha zniknęło całe onieśmienie i obawa przed tym mężczyzną.

- Co robisz w naszej kuchni? - prowokowała go znowu. - Gotujesz?

Wzruszył ramionami.

- Twój ojciec prosił, żebym sobie zrobił śniadanie. Poza tym pomyślałem, że ty też jesteś głodna. Wspomniał, że zajmujesz się tym... tym... - mamrotał, wskazując łyżką na Frosty'ego.

- Żrebiem - dokończyła tonem pełnym pogardy dla ignorancji tego mieszczucha. - To jest źrebię.

- Niech będzie, że źrebię - odparł dość sztywno.

- Gdzie mój ojciec? Jest piąta rano. Czy musisz stawiać cały dom na nogi o tej porze?

Dotknął ręką oprawki okularów i przyglądał się Abbie w zamyśleniu. Wcale jej się nie udało zbić go z tropu.

- Jest siódma, a nie piąta - poprawił ją. - Twój ojciec już pracuje. Prosił, żebym ci powtórzył, że nakarmi konie. Oprócz tego, oczywiście - dodał, wskazując znów na Frosty'ego.

Przez chwilę patrzyła na niego z niedowierzaniem, potem chwyciła budzik i przerażona sprawdziła godzinę. Była za dwie siódma! Odwróciła się i spojrzała na woreczek z płynem. Był prawie pusty.

- Cztery godziny?! - zawołała. - Przegapiłam porę karmienia! Jeśli on nie przeżyje, to przeze mnie. Jak mogłam!

- Nie martw się - przerwał Yates spokojnie. - Frazier go nakarmił.

Cofnęła się i popatrzyła z powątpiewaniem.

- Mój ojciec?

- Właśnie. I to on otworzył drzwi, żeby wpuścić na werandę trochę ciepła. Martwi się o ciebie.

Abbie zaczęła wymieniać woreczek z płynem. Spojrzała sceptycznie na Yatesa.

- Jakoś wczoraj się nie martwił. Mówił, że nie będzie tracić pieniędzy na ogrzewanie ganku. Upierał się, że ciepłe powietrze i tak szybko uleci na zewnątrz, a przecież nie ma zamiaru ogrzewać całej Środkowej Nebraski.

- To było wczoraj. Widocznie zmienił zdanie. Przedtem na werandzie spał tylko koń.

Poczuła wdzięczność dla ojca. Po kilku bezsennych dobach te cztery godziny wydały się jej wspaniałym odpoczynkiem. Nakarmiła Frosty'ego. Yates, widząc, jak się zмага ze źrebakiem, zaproponował pomoc, ale stanowczo odmówiła. Wyglądał wprawdzie na silnego mężczyznę, ale spartaczyłby całą robotę. Na koniach trzeba się znać. Cóż potrafi taki mieszczuch w okularach i fartuchu? Co najwyżej zabrudziłby swoje eleganckie ubranie!

Gdy skończyła, Frosty z powrotem ułożył się na sianie i natychmiast zasnął. Przyglądała mu się z czułością.

- Jesteś głodna? - zapytał Yates, spoglądając na nią spod okularów. - Chyba już możesz napić się kawy? Czy najpierw się umyjesz?

Spojrzała na swoje ubranie i uznała, że wygląda jak straszycło. Na dżinsach i swetrze żdźbła słomy i siana. Ale jakie to ma znaczenie? Przecież i tak nikt jej tu nie widzi, oprócz tego mężczyzny z miasta.

- Nie powinnam go zostawiać - powiedziała, przeczesując ręką włosy. - Zjem tutaj.

Podszedł i ujął ją delikatnie za rękę.

- Idź wziąć prysznic. Ja go popilnuję.

Jest tak silny, na jakiego wygląda, pomyślała zaskoczona, chociaż twarz ma pustą, bez wyrazu.

- Spójrz na niego - wskazał znów żrebaka. - Nic mu nie będzie. A teraz pomyśl o sobie. Nawet już nie masz siły go karmić.

Przypatrywał się jej twarzy, nie wypuszczając ręki. Uśmiechnęła się, lekko zakłopotana. Nie pamiętała, kiedy ostatnio zmieniała ubranie. W potarganych włosach pełno było słomy. Tak, słowo prysznic brzmiało bosko...

Spoglądając na siebie jego oczyma, przyznała mu rację. Frosty spał głęboko, bez obawy mogła na chwilę go zostawić. Zerknęła na wypielegnowaną dłoń Yatesa i roześmiała się zakłopotana. Będąc takim pedantem, mógłby jej nie wpuścić do kuchni, gdyby się nie umyła.

- Dobrze - uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością. - Zaraz będę z powrotem.

W tym momencie dostrzegła coś zaskakującego. Linia jego ust zwężała się z jakąś dziwną, jakby siłą powstrzymywaną zawziętością. Oczy, nawet w tych śmiesznych, drucianych okularach, nie patrzyły już z dezaprobatą. Błysnęło w nich pożądanie. Mocno, władczo zacisnął palce wokół jej nadgarstka. Nie myliła się, Connley bardziej przypominał woźnicę rydwanu lub jakiegoś wojownika niż biegłego rzeczoznawcę.

Zalewały ją na przemian fale zimna i gorąca, wstrząsał nią przyjemny dreszcz. Ale po chwili wydało się jej, że to tylko złudzenie, bo twarz Connleya uspokoiła się, przypominała znów trudną do przeniknięcia maskę, usta

wykrzywił grzeczny uśmiech, a oczy nie wyrażały już żadnego uczucia.

Wypuścił jej rękę, nagle pełen rezerwy i nadmiernej uprzejmości.

- No, zmykaj pod prysznic, moja panno. Ja tymczasem zrobię śniadanie i zabieram się do pracy.

Abbie spojrzała na niego badawczo, zastanawiając się, czy ją oczy nie mylą. Może tylko wyobraźnia podsuwa jej nie istniejące obrazy?

Zmienił się naprawdę, czy tylko ona jest tak zmęczona, że reaguje inaczej?

Odwróciła się na pięcie i poszła do pokoju po ubranie. Wyraźnie czuła pieczenie w miejscu, gdzie Connley trzymał jej rękę. Nie, to tylko złudzenie, po prostu jest zmęczona. A jednak ręka piekła ją, jakby ktoś przykładał rozżarzone węgle.

Zerknęła na zdjęcie Lucky'ego. Uśmiechał się do niej tajemniczo. Czowała się zdezorientowana, jakby nagle znalazła się w nierealnym świecie. Ten Connley jest bardzo dziwny. Popatrzyła znów na Lucky'ego. Dlaczego? - zdawał się pytać. Dlaczego o nim myślisz, Abbie? Powinnaś myśleć tylko o mnie. Tylko mnie kochasz. Nie wolno ci o tym zapomnieć.

ROZDZIAŁ TRZECI

Yates zaklął pod nosem. Przeklinał całą sytuację i własną słabość. Szkolono go przecież w sztuce panowania nad emocjami. I cóż najlepszego zrobił? Co się stało, gdy ją trzymał za rękę i patrzył prosto w oczy?

Zdjął okulary i przetarł twarz. Pomyślał, że za krótko spał, poza tym nie nawykł do tego rodzaju zleceń.

Kiedyś był tajniakiem, pracującym bezpośrednio z kryminalistami. Tutaj, u Hale'ów, nie miał poczucia zagrożenia, było to dla niego czymś nowym.

Powrócił myślami do chwili, kiedy na werandzie zapalił światło. Zaskoczył ją tak, jak planował, ale wystarczyło jedno spojrzenie na śpiącą dziewczynę, aby sam dał się złapać... Wpatrywał się w nią i nie mógł odwrócić głowy, tak była piękna. Wprawdzie miała na sobie zmięte džinsy i drelichową bluzę, potargane włosy, twarz bez makijażu, źdźbła słomy i włosie końskie pokrywały odzież, a jednak poraziła go jej uroda.

Był zły na Adona Hale, że go nie przestrzegł. Ani słowem nie wspomniał, że ma tak boską siostrę. Owalna twarz, pełne, ponętne usta, figlarnie zadarty nosek, oczy rzucające niespokojne błyski, głowa okolona koroną złotych włosów. Była niska, ale miała dość długie nogi. Nigdy nie widział dziewczyny piękniejszej od niej. Kiedy ją dotknął...

Przywołał się w duchu do porządku. Nigdy nie zadurzył się w żadnej kobiecie, nad której sprawą pracował. Cieszył się w policji nienaganną opinią i nie zamierzał jej stracić, zwłaszcza teraz, przed planowanym zakończeniem służby.

Znów założył okulary. Uciskały go, ale cóż, zasłużył sobie na to, podobnie jak na ten idiotyczny fartuch i łyżkę. Klnąc, wrócił do kuchni, by zamieszać jajecznicę. Przede wszystkim był dobrym gliniarzem, więc tym bardziej wyrzucał sobie chwilę zapomnienia.

Co z tego, że jest bardzo ładna? Musi panować nad swoimi emocjami, inaczej nawarzy sobie piwa. Inni policjanci przestrzegali go. Możesz przysięgać, że się nie zaangażujesz, mówili, a potem przychodzi moment, kiedy wpadasz. Któregoś dnia spotykasz taką, która jest inna i koniec, leżysz na całym.

Przekonywał sam siebie, że liczy się tylko praca. Wykona zadanie i odjedzie. Jego zadaniem było znalezienie dowodu przeciw Gibbsowi. Musi wykazać, że istotnie ukradł monety staremu Mylo. Ile ich zabrał? Banda Claridge'a uległa rozbiciu. Lucky był na tyle głupi, że zaczął działać w pojedynkę.

Yates chciał udowodnić dwie rzeczy. Po pierwsze, że dziadek Abbie był posiadaczem monet, które znaleziono w Teksasie i o których wiadano, że są związane ze sprawą. Do tego celu potrzebny będzie spis, najlepiej sporządzony przez właściciela kolekcji, zanim zjawił się Gibbs. Po drugie, trzeba się upewnić, że te monety zniknęły ze zbioru.

Adon skontaktował Yatesa ze swoim ojcem. Yates zadzwonił do Frazier, ale okazało się, że nie ma on pojęcia o szczegółach dotyczących eksponatów, bo znaczki i monety zawsze go nudziły, nigdy się nimi nie interesował.

Adon wiedział niewiele więcej. Pamiętał, że staruszek prowadził bardzo dokładny, zawiły rejestr: każda rzecz w zbiorze była skrupulatnie opisana i opatrzona numerem, według osobliwego systemu. W ostatnim roku życia dziadek zabawiał się, przenosząc cały rejestr do komputera. Podobnie jak ojciec, bracia Abbie nigdy nie interesowali się zbiorami.

Tylko ona jako tako orientowała się w monetach i znaczkach, przynajmniej, zanim się pojawił Lucky. Patrząc wstecz, twierdził Frazier, jego zainteresowanie dziewczyną wydawało się nieprzypadkowe. Abbie nie znała się na komputerach. A Lucky? Nikt tego nie wiedział. Ona mogła posiadać szyfr do sejfu dziadka. Czy Gibbs też? Frazier sądził, że raczej nie, ale do końca nie był o tym przekonany.

Jeżeli ktoś włamał się do rejestru komputera, Yates będzie miał ciężki orzech do zgryzienia. Straci mnóstwo czasu, sporządzając nowy inwentarz, co zresztą może się udać, zakładając, że Abbie pamięta, co dziadek posiadał. Yates musi ją nakłonić do współpracy, zachowując jednak ostrożność, aby się nie domyśliła, że on zamierza aresztować jej ukochanego. Oczywiście, w końcu i tak się dowie, jaki był rzeczywisty powód przyjazdu rzeczoznawcy.

Usłyszał, że otwierają się drzwi od łazienki. Widocznie już się umyła. Poprawił krawat, po chwili jednak znów go rozluźnił. Fatalnie się czuł - tak wystrojony, ale wszyscy mówili mu, że w zwykłym, codziennym ubraniu wygląda bardziej na gliniarza niż na urzędnika. Nie mógł przecież wzbudzać podejrzeń w Abbie, bo wtedy natychmiast ostrzegłaby Gibbsa.

Wlał jajka do rondla, gdy usłyszał kroki w holu. Chodź do wujka Yatesa, pomyślał cynicznie, posłużę się tobą, jak jeszcze nikt, może oprócz Lucky'ego. Prześcignę nawet jego!

Gdy tylko weszła i stanęła przed nim, odświeżona, śliczna, pachnąca, coś wstrząsnęło nim do głębi, mocno, boleśnie. Natychmiast zaczął żałować, że ma takie zadanie, bo przecież jego praca będzie polegała na bezustannym okłamywaniu tej kobiety. Ale co mógł na to poradzić? Sprawiedliwość i zemsta. Swoją cel musi zrealizować za wszelką cenę.

Abbie nie przejmowała się zbytnio swoim wyglądem. Umyła i wysuszyła włosy, nie układając ich nawet. Była bez makijażu, pociągnęła tylko usta pomadką. Włożyła czyste dżinsy, haftowaną niebieską bluzkę i mokusy.

Twarz Yatesa przybrała na jej widok niemal bolesny wyraz. Przyglądał się dziewczynie tak uważnie, że zaczęła się zastanawiać, czy nie jest zbyt mało zadbana dla kogoś tak wypielegnowanego, jak on. Po chwili całą uwagę skupił na jajecznicy, bąknął tylko pod nosem, że ładnie wygląda. Zanim się jednak na to zdobył, chrząknął dziwnie, więc Abbie i tak uznała to za uprzejme kłamstwo.

Wyszukał porcelanę, przeznaczoną dla gości, i nakrył do stołu. Ona uparła się, że zje na werandzie, musi przecież pilnować Frosty'ego. Yates poszedł więc

za nią, niosąc swój talerz i kubek, rozprawiając z ożywieniem. Wciąż miał na sobie ten absurdalny fartuch.

To idiotyczne, że uważałam tego mężczyznę za niebezpiecznego, pomyślała. Mąci mi się w głowie ze zmęczenia. Tym niemniej wydał jej się bardzo dziwnym człowiekiem. Właściwie znała tylko ludzi pracujących na ranczu i kowbojów. W jej wyobrażeniu silny mężczyzna jeździ konno i pilnuje bydła. Na pewno nie jest to ktoś, kto podaje posiłki na porcelanowych talerzach, nosi krawat i kamizelkę podczas śniadania i w ogóle nie wychodzi na dwór.

W pewnej chwili zauważyła maleńki aparat słuchowy. Ciekawa była, czy przez całe życie miał problemy ze słuchem? Może dlatego prowadził siedzący tryb życia, pracując jako urzędnik? Szkoda, pomyślała, bo bez okularów i aury łagodności mógłby uchodzić za przystojnego. Wprawdzie nie podobał jej się tak, jak Lucky, ale jeśli ktoś lubi taki klasyczny typ urody...

W każdym razie zrobił bardzo smaczne jajka na bekonie i wyśmienitą kawę. To musiała mu przyznać. Usiadła na wiklinowym krześle, które ustawiła tak, by jedząc widzieć żrebaka. Yates usiadł obok niej. Był gadatliwy i pogodny. Postanowiła, że będzie go unikać, tymczasem jednak coraz lepiej się czuła w jego towarzystwie. Potrafił ją rozbroić. Pytał z przejęciem o Frosty'ego i uważnie słuchał odpowiedzi, od czasu do czasu rzucając jakiś komplement. Zaskoczona zorientowała się, że uśmiecha się do niego.

- O, widzę uśmiech - zagadnął. - Mam nadzieję, że to dobry znak. Możemy chyba zostać przyjaciółmi?

Odwzajemnił jej uśmiech tak nieśmiało, że obawiała się, by go przypadkiem nie zranić. Ale po chwili spoważniała i obojętnie wzruszyła ramionami.

- Wiem, że wolałabyś, żebym nie przyjeżdżał, nie zaglądał do rzeczy dziadka - stwierdził poważnym tonem. - Rozumiem, co czujesz.

Tak trafnie odgadł jej myśli, że zawstydziała się swojej wrogości.

- Cóż, wypełniasz tylko swoje obowiązki - powiedziała, wbijając wzrok w talerz. Nie czuła już głodu.

Odchrząknął, jakby i dla niego temat rozmowy był niezręczny. Przez chwilę bawił się bezmyślnie aparacikiem słuchowym.

- Są pewne aspekty mojej pracy, których nie lubię. Sprawy majątkowe zawsze dostarczają kłopotów.

Ze zrozumieniem skinęła głową, ale nie patrzyła na niego, lecz na żrebaka. Frosty był pogrążony we śnie, oddychał równo, głęboko. Strzygł nawet uszami, słysząc ich głosy.

- Ale dość tego. Porozmawiajmy o czymś pogodniejszym. Słyszałem, że wychodzisz za mąż? Ojciec wspomniał, że masz narzeczonego?

Abbie spojrzała, na niego spod oka, przygryzając wargę.

Odniosła wrażenie, że jest miły i wesoły, życzliwie do niej usposobiony. Pomyślała z żalem, a zarazem ze złością, że choć taki potężny, siedzi tu w fartuchu i rozprawia o narzeczeństwie, zamiast, jak inni mężczyźni, zająć się konkretną robotą.

Była zaskoczona, że ojciec rozmawiał z nim o Luckym. Nie wiedziała, co opowiedział, ale przypuszczała, że nic pochlebnego, więc postanowiła naprawić ten błąd.

- Właściwie jeszcze nie jesteśmy zaręczeni. On wciąż jest w drodze.

- W podróży?

- Jest jeźdźcem na rodeo - wyjaśniła z dumą. - Zawodowym. Ale jak tylko będzie mógł osiąść gdzieś na dobre, kupimy własne, niewielkie ranczo.

- Jeździec rodeo - podjął Yates, udając, że ta informacja wywarła na nim duże wrażenie. - A to dopiero! Czy przyjedzie na Boże Narodzenie?

Usiłowała zachować spokój. Wolałaby nie usłyszeć tego akurat pytania.

- Nie. Jest na Zachodnim Wybrzeżu. Nie może przyjechać.

Wyciągnęła rękę, aby postawić talerz na wiklinowym stoliku. Powinna zjeść więcej, ale zupełnie straciła apetyt. Splotła dłonie i bezwiednie wsunęła je między kolana.

Wciąż jeszcze łudziła się, że Lucky tylko ją drażni. Zrobi niespodziankę i przyjedzie na święta. Wyobrażała sobie nawet, jak nie zapowiedziany wchodzi do domu, sięga do kieszeni i wyjmuje aksamitne pudełeczko. Ona otwiera je i znajduje w środku pierścionek z brylantem, skrzący się wspaniale...

- Zapewne często do ciebie wydzwania - indagował dalej Yates. - Założę się, że telekomunikacja nieźle na was zarabia.

Zakłócił jej marzenia. Zaciśnęła mocniej palce, była wyraźnie spięta.

- Nie, prawdę mówiąc oszczędzamy - wzruszyła ramionami. - Wiesz, jak to jest.

- Na pewne sprawy warto poczekać dłużej - zauważył filozoficznie. - O, rany, spójrz, wciąż mam na sobie ten fartuch! Dlaczego nie zwróciłaś mi uwagi? Czy dolać ci kawy?

- Nie, dziękuję - uśmiechnęła się blado.

Nachmurzył się, rozwiązując fartuch i odkładając go na stolik.

Jak dziwacznie wygląda w jego ręku taki śmieszny, z falbankami, pomyślała.

Yates miał duże, opalone; kształtne dłonie. Szkoda, że marnował je, stukając na komputerze. Wzbudzał jej litość, jednocześnie zastanawiała się, co Frazier mu naopowiadał.

- To dziwne, że mój ojciec mówił o moim... o Luckym. On go nie lubi.

- Wszyscy ojcowie są tacy. Żadnego faceta nie uważają za odpowiedniego dla ukochanej córki - skomentował, poprawiając okulary.

Potrząsnęła głową.

- Nie o to chodzi. Co on ci mówił o Luckym? Yates przestał się uśmiechać.

- Właściwie niewiele, ale, prawdę mówiąc, rzeczywiście nie wyrażał się o nim z entuzjazmem.

Przypuszczam, że martwi go zawód twojego chłopaka. Cóż, rodeo...

Abbie przeczesła ręką włosy. Yates Connley to wprowadzie dość dziwny człowiek, ale jest taki szczery i sympatyczny, całkiem miło się z nim rozmawia. Nagle odczuła potrzebę zwierzenia się, wszystko jedno komu.

Nie mogła się z nikim podzielić swoimi obawami, co do Lucky'ego. Ojciec i bracia nie lubili go, nie ufali mu. Powtarzali wciąż, że ją zaniedbuje i jest zbyt pewny siebie. Zaprzeczała gorączkowo, tłumacząc, że to wszystko przez pracę, która pochłania mu tyle czasu. Jak może jej nadskakiwać, kiedy często dopiero w ostatniej chwili dowiaduje się, że przyjedzie do Nebraski. Abbie uważała ich miłość za tak silną, że nie muszą się afiszować częstymi rozmowami telefonicznymi, listami czy prezentami.

Broniła go i nigdy nie powiedziała o nim złego słowa, ale gdzieś w głębi serca czuła żal, że z taką nonszalancją traktuje ich związek. Pragnęła, by częściej do niej dzwonił, przyjeżdżał i pisał.

Za to, kiedy już się zjawiał, czy chociaż dzwonił, był nadzwyczaj czarujący. Na początku znajomości często przysyłał jej śmieszne prezenty, oczywiście zawsze tanie. Ileż sprawiały jej radości! Ostatnio jednak nawet te drobne gesty były nader rzadkie.

W gruncie rzeczy bardzo przeżywała fakt, że Lucky nie przyjedzie na Boże Narodzenie. Nawet jeśli nie zawsze się zgadzała ze swoimi braćmi, kochała ich i cieszyła się, że spędzą razem święta. Z drugiej strony wiedziała, że, podobnie jak ojciec, skorzystają z okazji, by krytykować Lucky'ego. Nikt nie stanie po jego stronie.

Nic się ostatnio nie układało. To będą jej pierwsze święta bez dziadka, a zarazem ostatnie na ranczu, w rodzinnym domu. Potrzebowała Lucky'ego. Gdyby mógł przyjechać! Nie czułaby się urażona brakiem pierścionka. Nie musi w ogóle nic przywozić, byleby tylko spędzili razem Boże Narodzenie...

Czasami miała wrażenie, że wcale jej nie kocha, a jej własne uczucia są tylko wyrazem protestu wobec ojca i braci. Ale to przecież niemożliwe!

- Abbie? - Yates przerwał jej smutne rozmyślenia.

Spojrzała na niego, zaskoczona troską w jego głosie.

- Wyglądasz na przygnębioną - zauważył, stawiając talerz. - Pytałem cię, czy ojciec nie aprobeuje pracy twojego narzeczonego. Czy powiedziałem coś niewłaściwego? Przepraszam, czasami zadaję za dużo pytań.

- Nie szkodzi - szepnęła, ale wyglądała na zasmuconą.

- Jestem ciekaw, jak żyją inni ludzie, to wszystko. Moje życie uważam za ograniczone, ubogie, ciągle tylko znaczki i monety. Nie chciałem się wtrącać...

I znów zrobiło jej się go żal. Yates wydawał się subtelny i wrażliwy. Popatrzyła na śmieszne okulary, szpecące ładną twarz, na ubranie, w jej mniemaniu w zbyt dobrym guście, gdyż na pierwszy rzut oka wyglądał w nim zbyt oficjalnie. Jak mogła go uznać za niebezpiecznego? Wszystkiemu winne zmęczenie, pomyślała. Zmęczenie i kłopoty - źrebie, ranczo, przyszłość, Lucky...

- Nie wtrącasz się - uspokoiła go. - To prawda, tata uważa, że rodeo jest dobre dla obiboków, ale się myli. Lucky jest bardzo wrażliwy. Po prostu nie rozumie...

- Czego nie rozumie?

Jak to miło, pomyślała, dostrzegając te uważne, ciemne oczy za szklami. W przeciwieństwie do mężczyzn z jej rodziny, którzy autorytatywnie udzielali odpowiedzi, Yates zadawał pytania.

- Lucky bardzo wiele przeszedł - powiedziała. Yates pochylił się do przodu, słuchając z większą uwagą, jakby go to rzeczywiście interesowało. Cały czas przypatrywał się jej. Ma niezwykle oczy, myślała zmieszana. Głęboko osadzone, wnikliwe, czarne jak onyks, mogłyby hipnotyzować, gdyby nie był taki nieśmiały. Próbowwała ignorować intensywność tego spojrzenia.

- Lucky miał niełatwe życie - zaczęła znów, z ciężkim westchnieniem. - Jego rodzina nie zaznała szczęścia. Ojca zamknięto w więzieniu, gdy chłopiec miał dwanaście lat. Matka... Cóż, on teraz obraca to w żart, ale po prostu sobie nie radziła. Starsza siostra Lucky'ego zeszła na złą drogę. W całej rodzinie nikt niczego nie osiągnął, poza Luckym i jego bratem.

- Niewesoło to wszystko brzmi - przyznał Yates.

- Wpadł w tarapaty, gdy był jeszcze bardzo młody. Nic poważnego, wysłali go wtedy do zakładu poprawczego. Potem zaczął brać udział w rodeo. Robi to naprawdę dobrze.

- Czyli wszystko zawdzięcza sobie?

- Całkowicie - przytaknęła z ulgą, zadowolona, że nareszcie ktoś ją rozumie. - Wszystko osiągnął sam. Jest uczuciowy, tylko nie umie tego okazać. Ci, którzy go nie znają, uważają, że jest zarozumiały. Tak naprawdę... brak mu pewności siebie.

- No, tak, biorąc pod uwagę jego przeszłość...

- Właśnie. Inna jego cecha to duma. Nie chce, żebyśmy się pobrali dopóki nie zarobi tyle, żeby mógł być człowiekiem niezależnym.

- To brzmi całkiem rozsądnie - przyznał Yates, sięgając po jej pustą filiżankę. - Należę ci kawy. Potem muszę się zabrać do pracy. Przywiozłem komputer, ale muszę skorzystać z systemu twojego dziadka. Mam nadzieję, że mi pomożesz? Twój ojciec nie...

Przerwał mu dźwięk telefonu. Abbie zerwała się z krzesła, jej twarz rozpromieniła się.

- Może to on! - zawołała z entuzjazmem, wybiegając do salonu.

Dzwoniła Myra Hurley, żona hodowcy z sąsiedniego rancza, żeby poinformować, że najlepszy byk Frazier'a uciekł i wmieszał się w ich stado. Wobec tego ojciec spóźni się do domu. Abbie podziękowała i odłożyła słuchawkę. Gdy wróciła na werandę, znów poczuła zmęczenie.

- Czy coś się stało? - zapytał Yates z troską.

Przekazała mu treść rozmowy, z trudem tłumiąc ziewanie.

- Pozmywam, a potem prześpię się trochę - powiedziała.

- Nie będziesz zmywała - zaproponował stanowczo. - Włożę naczynia do zmywarki. Ledwo stoisz. Nie śpij na słomie, wygodniej ci będzie w fotelu.

Chciała zaprotestować, ale z ledwością walczyła ze zmęczeniem.

Nastawiła budzik, po czym usadowiła się w fotelu, wyciągając wygodnie nogi. Zasnęła natychmiast. Nie słyszała już, jak Yates podchodził do niej i przykrywał ją kołdrą. Potem stał jeszcze długo, przyglądając się jej.

W czasie każdego następnego karmienia źrebaka widziała poprawę. Podczas dziesiątego od wizyty weterynarza, Frosty potrząsał głową, a nawet próbował wstać. Obawiając się, by mu nie wypadł kateter, znów spała obok niego.

Ledwo sobie uświadamiała, że ojciec co jakiś czas wchodził, to znów wychodził z domu. Raz, gdy karmiła Frosty'ego, słyszała, jak rozmawiał z Yatesem. Prosił, żeby się tak nie przepracowywała. A może to było wcześniej? Nie pamiętała dokładnie. Jak przez mgłę dotarło do niej, że Frazier chętnie by jej pomógł, ale razem z Mingusem musiał rąbać lód na dużym stawie, żeby było miało co pić.

W istocie więcej przebywała teraz z Connleyem niż z ojcem. Ilekroć popatrzyła na Yatesa, była zaskoczona, że jest tak potężny. Wystarczyło jednak spojrzenie na okulary, krawat i kamizelkę, by się odprężyła. To przecież tylko ten dziwaczny, potulny i nieporadny rzeczoznawca, myślała. Pojawiał się za każdym razem, kiedy karmiła Frosty'ego i proponował pomoc. Zawsze ją odrzucała, powątpiewając w jego umiejętności w obcowaniu z końmi. Nie zrażał się. Był miły, przynosił jej gorącą czekoladę, raz nawet zupę i kanapkę, chociaż i tak nie miała siły jeść.

Pamiętała urywki rozmów. Za każdym razem pytała, pełna nadziei, czy kiedy spała nie dzwonił Lucky. Zaprzeczał, patrząc na nią ze współczuciem. Wreszcie spytał, kiedy rozmawiali ostatni raz. Okazało się, że nie wiedziała.

Może przed tygodniem, może dawniej? Nie umiała też powiedzieć, gdzie chłopak się podziewa. Zachodnie Wybrzeże jest rozległe, a on miał tak nie sprecyzowane plany.

Potem znów Yates interesował się komputerem dziadka, gdyż nie udało mu się znaleźć potrzebnych danych. Abbie nie była w stanie rozwikłać skomplikowanego systemu stworzonego przez niego.

Wieczorem przyjechał weterynarz. Na szczęście wyręczył ją w karmieniu Frosty'ego, co więcej, z jego pomocą źrebak zdołał wreszcie wstać.

- Uratowałaś go, Abbie - powiedział Wally, wyjmując kateter z szyi Frosty'ego i odcinając plaster. - Już nie musisz mu dawać płynu. Wystarczy karmienie butelką co dwie godziny. Przez następne dwa dni trzeba mu ponadto robić zastrzyki co cztery godziny. Jeśli cię ktoś nie wyręczy, to i tobie będzie potrzebny lekarz.

- Dam sobie radę - zapewniała Abbie, ale w jej głosie dało się wyczuć powątpiewanie. Zajmowała się źrebakiem przez pięć dni i nocy, wiedząc, że ani ojciec, ani Mingus nie mają czasu, by jej pomóc.

- Ja mogę ją zastąpić - dosłyszeli z tyłu cichy głos. Abbie odwróciła się i spojrzała na Yatesa. Jak zawsze, wprowadził ją w zakłopotanie. Było oczywiste, że nie nawykł do takiej pracy. Stał za nią w koszuli z podwiniętymi rękawami, w rozluźnionym krawacie, z rękoma w kieszeniach, w połyskujących okularach.

Wally przyjrzał mu się badawczo.

- Nazywam się Connley. Jestem rzeczoznawcą - przedstawił się. - Wyceniam kolekcje monet. Będę tu jeszcze przez jakiś czas.

- Ależ nie - sprzeciwiła się Abbie, próbując wstać z krzesła. Yates powstrzymał ją, kładąc rękę na jej ramieniu.

- Powiedziałem, że cię wyręcę - mruknął, nie pozwalając jej wstać. - Od czasu do czasu muszę sobie zrobić przerwę, nie mogę wciąż ślęczeć przy komputerze, a ty musisz odpocząć.

- Czy robił pan kiedykolwiek zastrzyk? - zapytał Wally nieufnie.

- Tak. Moi dziadkowie mieli ranczo. Wiele mnie nauczyli.

Abbie patrzyła na niego osłupiała. Nagle wydał jej się poważniejszy, bardziej odpowiedzialny. Przez moment doznała uczucia niejasnego, nie wiadomo skąd pochodzącego, zagrożenia, ale ta myśl szybko uleciała, bo głowa zaczęła jej opadać ze zmęczenia, nie była w stanie myśleć.

Tymczasem Wally zbierał się do wyjścia.

- Ojciec wciąż pracuje? - zagadnął jeszcze. - Wykończycie się oboje. Nie pozwól mu się przepracowywać, Abbie. On ma już swoje lata. I uważaj na siebie.

Po wyjściu lekarza siedziała, ledwo przytomna, nie mogąc wstać, bo Yates trzymał wciąż rękę na jej ramieniu. Nie wiedziała dlaczego ma rozpalone ciało i krew pulsuje jej w skroniach. Dlaczego dotyk tego mężczyzny porusza ją do głębi? Nawet przy Luckym nie miała takich doznań.

- Wstań - nalegał Yates, pomagając jej się podnieść. - Weź prysznic, to ci dobrze zrobi. Potem dam ci coś do jedzenia i pójdziesz spać, do swojego pokoju.

- Nie chcę - oponowała, zapierając się w fotelu.

Był silny, więc gdy objął ją ramieniem, przestała stawiać opór. Uświadomiła sobie odczucie przyjemności na myśl, że jego silne ramiona chronią ją przed wszelkimi niebezpieczeństwami. Wprowadził Abbie do łazienki i zamknął za nią drzwi.

Ależ on jest zwariowany, pomyślała, przyciskając palcami skronie. W duchu przyznała mu rację, znów miała potargane włosy i była zaniedbana. Z przyjemnością weszła pod prysznic, rozkoszując się ciepłą wodą.

Kiedy się umyła, poczuła zawroty głowy. Włożyła stary szlafrok i rozpuściła włosy, które swobodnie opadały na ramiona. Chyba pozwoli Yatesowi nakarmić Frosty'ego, ale jeszcze nie tym razem. Dzisiejsza noc rozstrzygnie, czy żreback na dobre wyzdrowieje. Wally zaznaczył przecież, że trzeba mimo wszystko uważać. Miała do niego zadzwonić, gdyby wystąpiły jakieś niepokojące objawy.

To dziwne, pomyślała, otwierając drzwi od łazienki. Przez chwilę pozwoliła, żeby ten potulny urzędniczyna nią sterował. Nawet była posłuszna!

Zdziwiła się, widząc go na końcu korytarza z rondlem w ręku. Mierzył ją wzrokiem od stóp do głów.

- Czy nie masz pantofli? Nie jest ci za zimno w tym szlafroku? - Zdjął okulary i przyglądał jej się dziwnie. - Dobrze się czujesz?

Nic mi nie jest, chciała powiedzieć, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu. Bez szkielec Yates był bardzo przystojny, zupełnie jak rzymski woźnica rydwanów, przypomniała sobie. Woźnica z aparatem słuchowym i rondlem...

- Abbie? - Uniósł brwi, nie przestając się jej przyglądać.

Nic mi nie jest, usiłowała powiedzieć. Ze zdziwieniem ujrzała przed sobą dwie postacie i nie wiedziała, do której mówić.

- Abbie?

Poruszyła wargami, żeby się wreszcie odezwać, ale nie mogła. Dwa wizerunki Yatesa tańczyły jej przed oczyma. Chciała podejść bliżej, ale poczuła, że zstępuje z progu w ciemność, nicość, a podłoga ucieka jej spod stóp.

Yates zaklął, błyskawicznie znalazł się przy niej i objął ją mocno. Poddała się, zbyt oszołomiona, by protestować. Pasek szlafropa rozwiązał się, poły się rozchyliły. Westchnąwszy, wsparła się na nim, czując wełnianą kamizelkę, nakrochmaloną koszulę, jedwabny krawat, wreszcie gołą skórę.

Traciła świadomość. Przez moment miała wrażenie, że śniada twarz pochyla się nad nią, patrząc uważnie czarnymi jak węgiel oczyma. Poddała się tej chwili. Odetchnęła mocno, po czym straciła przytomność.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Yates trzymał Abbie w ramionach i z niepokojem wpatrywał się w jej twarz. Serce waliło mu jak młotem.

Rzęsy rzucały cień na policzki, wargi były lekko rozchylone. Słodko pachniała szamponem i płynem do kąpieli. Jej włosy zmoczyły mu kamizelkę, czuł wilgoć przenikającą przez koszulę.

W pewnej chwili szlafrok zemdlonej rozchylił się powyżej talii. Prawe nagie ramię dotykało jedwabnego krawata. Wydała mu się lekka jak piórko, jej ręka niemal go parzyła. Nie mógł oderwać wzroku od niezwyklej jasności jej ciała między rozwartymi połami szlafroka. Poczłł przez kamizelkę zarys okrytej piersi i wtedy dostrzegł drugą, widoczną spod fałd materiału. Przywiodła mu na myśl płatek gardenii, tak była gładka i delikatna. Rozpalała go żądza, ale zdołał się powstrzymać.

Nie patrz na nią w ten sposób, ostrzegał go zdrowy rozsądek. Wyciągnął rękę, żeby szczelniej owinąć Abbie szlafrokiem, a wtedy wierzchem dłoni niechcący otarł się o odkrytą pierś. Ta ulotna chwila wystarczyła, by poruszyć go do głębi. Gwałtownym ruchem jeszcze szczelniej owinął dziewczynę i przytulił ją nieco mocniej, by oparła się o niego wygodnie.

Zaniósł ją do pokoju. Zapalił światło i rozejrzył się wokoło. Wnętrze było dokładnie takie, jak je sobie wyobrażał. Na trzech ścianach wisiały zdjęcia koni lub ludzi z końmi, na czwartej - nagrody z zawodów jeździeckich.

Trzymając wciąż Abbie jedną ręką, drugą odrzucił pościel na łóżku i położył ją najdelikatniej, jak potrafił. Uważał przy tym, żeby jej ponętne ciało było zakryte i nie kusiło jego oczu. Za bardzo go pociągała. Przykrył ją kocem. Ze zdziwieniem uświadomił sobie, że wstrzymuje oddech, nie chcąc zakłócać jej spokoju.

Wilgotne włosy rozłożyły się wachlarzem na śnieżnobiałej poduszce. Poruszyła się leciutko i zmarszczyła brwi, jakby ją coś zabolalo. Uniosła lewe ramię i bezwiednie ułożyła obok poduszki, na przemian otwierając i zamykając dłoń, jakby czegoś szukała.

Instyktownie wyczuł, w czym rzecz. Pragnęła kontaktu. Zapominając o ostrożności, ujął jej rękę i zamknął w swojej dużej dłoni. Zacisnęła leciutko palce, potem rozluźniła. Jednocześnie brwi wygładziły się.

Yates westchnął. Przysunął krzesło i usiadł przy łóżku, nie wypuszczając jej ręki. Wiedział, że to nie za jego dotykiem tęskniła, ale we śnie mógł jej przecież zastąpić Lucky'ego.

Było oczywiste, że Abbie szaleje za Gibbem. Yates zwrócił uwagę, jak rozpromieniła się jej twarz, kiedy myślała, że to Lucky dzwoni. Zaobserwował, jak posmutniała, gdy okazało się, że to nie on. Za każdym razem, gdy się budziła, pytała o telefon.

Nie podejrzewała, że ten drań prawdopodobnie okradał jej dziadka. Nie przypuszczała również, że jej dumny, wrażliwy chłopak jest oszustem. Rzeczywistość będzie dla niej tym bardziej bolesna.

Nagle dostrzegł na stoliku zdjęcie Lucky'ego. Ładna twarz uśmiechała się głupawo ponad śpiącą Abbie. Yates mocniej ścisnął jej rękę.

Przykro mi, dziecino, pomyślał. W tej chwili przypomniał sobie piękno gołych ramion i piersi, ciepło emanujące od niej, gdy ją trzymał w ramionach. Nie, to już nie dzieciak, nie mogę się rozklejać. W końcu... co ona mnie obchodzi?

Wpuścił jej dłoń, wstał i wyszedł z pokoju z postanowieniem, że nie będzie sobie zaprzętał głowy dziewczyną, lecz solidnie zabierze się do pracy. Chciał posiedzieć przy komputerze, zanim nadejdzie pora karmienia żrebaka. Musi się wreszcie skoncentrować na swoim zadaniu. Tam, w Lincoln, wszystko wyglądało inaczej. Miała to być czysta, przyjemna robota, natomiast na miejscu okazało się, że jest znacznie gorzej, niż przypuszczał.

Nagle dotknął aparatu słuchowego i przypomniał sobie, dlaczego poszukuje Gibbsa. Plugawych facetów można złapać tylko wtedy, kiedy się człowiek potrafi upodobnić do nich.

Abbie przebudziła się w rozświetlonym słońcem pokoju. Z rozkoszą wtuliła się głębiej w ciepłą pościel, chowając twarz w poduszkę. Spałaby dalej, gdyby nie drażniło ją ostre światło. Było dziwnie jasno jak na zimowy poranek.

Zimowy poranek? - przemknęło jej przez głowę. Natychmiast otworzyła oczy. Powinna dawno wstać, żeby nakarmić Frosty'ego! Któraż to godzina? Kiedy ostatnio dostał butelkę? Nie mogła sobie przypomnieć. Pamiętała, że przyjechał Wally i stwierdził, że stan zdrowia żrebaka uległ znacznej poprawie. Potem Yates kazał jej wziąć prysznic, a później... nic, tylko pustka i ciemność.

Ogarnęła ją panika. Wyskoczyła z łóżka. W popłochu zaczęła się rozglądać za budzikiem. Nie było go, widocznie został na werandzie. Przejrzała się w lustrze toaletki. Miała nienaturalnie bladą twarz, włosy, odbijające promienie słońca, były zmierzwiłone. Dlaczego poszła spać w szlafroku? Gdzie jest Frosty? Jak on się czuje? Czy przypadkiem nie zdechł, gdy spała?

Snując domysły, wybiegła z pokoju. Ojca nigdzie nie było, dom wydawał się opustoszały. Jednak, gdy weszła na werandę, poczuła unoszący się w powietrzu zapach kawy. Jej mały podopieczny stał, chwiejąc się, podtrzymywany przez karmiącego go Yatesa. Żrebak żarłocznie chleptał z butelki, machając dziarsko ogonem.

Przyglądała się tej scenie z najwyższym zdumieniem. Słońce stopiło lód na szybach i połyskiwało na czarnej czuprynie Connleya. Okulary zsunęły mu się na czubek nosa, więc patrzył gdzieś ponad nimi. Był ubrany w czarne spodnie od dresu, koszulę w biało-niebieskie paski i ciemnoniebieski krawat, który Frosty jakimś cudem zsunął mu na bok. Wyglądał absurdalnie, jak bankier z Wall Street, który dziwnym zrządzeniem losu znalazł się w tej scenerii. Zaskoczyło ją to, że chociaż ubrany, jakby właśnie zstąpił ze szpał

„Kwartalnika Dzentelmena", sprawiał wrażenie doskonale znającego się na tym, co robi. Karmił żrebaka z imponującą wprawą.

Abbie potrząsnęła głową z niedowierzaniem.

- Co to wszystko ma znaczyć?

Wzruszył ramionami, koncentrując całą uwagę na Frostym.

- Nic wielkiego. Musiałem go nakarmić. Wyspałaś się?

Zmarszczyła czoło, zakłopotana. Zauważyła budzik, ale był odwrócony.

- Która godzina? - zapytała.

Yates lewą ręką podtrzymywał żrebaka, więc nie mógł zerknąć na zegarek.

- Chyba kwadrans po jedenastej.

- Po jedenastej? - powtórzyła zaskoczona. - Jak długo spałam?

- Około czternastu godzin - odparł.

- Co takiego?

- Mniej więcej - wzruszył ramionami, wciąż unikając jej wzroku.

- A kto się zajmował Frostym? Czy spałeś choć trochę?

- Twój ojciec wyręczył mnie w karmieniu o piątej. Wtedy się trochę zdrzemnąłem.

Nagle, pod wpływem impulsu, uklękła na słomie obok niego. Przyjrzała się uważnie jego profilowi, szukając śladów zmęczenia, nie dostrzegła ich jednak. Wprawdzie skaleczył policzek podczas golenia, ale to był jedyny znak, świadczący o tym, że ten ranek różnił się od innych.

Zakłopotana sytuacją, nie wiedziała, jak zareagować. W dodatku teraz jakby ją ignorował. Unikał nawet jej wzroku.

- Jak długo spałeś? - zapytała. - Trzy i pół godziny?

- Coś koło tego.

- Więc karmiłeś go aż osiem razy?

- Siedem.

- I zrobiłeś mu zastrzyk... - liczyła gorączkowo - cztery razy?

Skinał tylko głową, nie odpowiadając.

- A ja spałam w tym czasie jak kłoda?

- Byłaś przemęczona - powiedział bezbarwnym tonem.

Ujęła się pod boki, przypatrując się mu z zakłopotaniem.

- Nie powinieneś tego robić.

- Stało się, nie ma o czym mówić.

- Twoja praca jest innego rodzaju - stwierdziła z wyrzutem.

Przysiadła na piętach i wyciągnęła rękę, chcąc pogłaskać Frosty'ego.

Mimowolnie musnęła przy tym rękaw koszuli Yatesa. Wzdrygnął się, a może tak jej się tylko zdawało? Odsunęła się instynktownie. Przypadkowy dotyk nie powinien przecież wywołać żadnej reakcji. Ten mężczyzna nie może być dla mnie pociągający, przecież nie jest w moim typie. Instynkt kazał jej się przezornie odsunąć. Oszołomiona, uświadomiła sobie, że jego bliskość dziwnie ją nastraja.

- Nawet nie pamiętam, jak się kładłam spać - powiedziała w zadumie. -
Wiem, że przyjechał Wally, potem brałam prysznic. Weszłam do holu, stałam tam wtedy z rondlem... - nagle głos jej się załamał.

Yates wstał raptownie. Poszła w ślad za nim. Chciała się dowiedzieć, jak to właściwie było. Dlaczego on tak dziwnie się zachowuje? Poprzedniego dnia ogromnie serdeczny, teraz jakby się bronił przed rozmową.

- Zemdląłeś - stwierdził lakonicznie, po czym zmieszany poprawił krawat i poszedł do kuchni.

Przyglądała mu się, nic nie rozumiejąc. Wreszcie ruszyła za nim.

- Zemdląłam? Nigdy w życiu mi się to nie zdarzyło.

- A jednak to prawda - powiedział, myjąc ręce.

- Gdzie to się stało?

- W holu - odparł, podając jej mydło.

Posłuszna nie wypowiedzianemu rozkazowi umyła ręce, usuwając ślady pozostałe po karmieniu Frosty'ego. Wciąż jeszcze nie rozumiała, co się właściwie stało.

- W jaki sposób znalazłam się w łóżku?

- Ja cię położyłem - odparł, dając jej ręcznik i wpatrując się bezmyślnie w okno.

- Ty? - nie dowierzała.

- Owszem.

Odwrócił się do niej, po raz pierwszy tego dnia nie unikając jej wzroku. Miała wrażenie, że te jego czarne oczy przeszywają ją na wskroś. Wyraz twarzy Yatesa wskazywał, że zмага się z silnymi, sprzecznymi emocjami.

- Słuchaj, pomogłem ci. To przecież normalne. Nie dziękuj, bo muszę cię prosić o rewanż.

- Mnie? - powtórzyła bezmyślnie, wyraźnie zdziwiona.

Wciąż jeszcze nie mogła się pogodzić z faktem, że położył ją do łóżka. Spoglądała na niego zmieszana, zastanawiając się, dlaczego te czarne oczy wywołują dreszcz w jej ciele...

- Tak, liczę na twoją pomoc. Nie mogę dojść do ładu ze zbiorem danych w komputerze twojego dziadka. Nic się w nim nie zgadza. Twój ojciec twierdzi, że z całej rodziny tylko ty masz względne rozeznanie w systemie starego Mylo. Nie rozszyfruję danych bez twojej pomocy. No więc, mogę liczyć na ciebie?

- Oczywiście - zgodziła się.

- W zamian za to - rzekł, pochylając się nad nią - ja pomogę ci przy Frostym.

Rozmyślnie zajęła się zwijaniem ręcznika.

- Nie mogę ci na to pozwolić - odezwała się wreszcie.

- Ty wspierasz mnie, a ja ciebie. To uczciwy układ.

- Przecież nie możesz wykonywać dwóch tak absorbujących zajęć - sprzeciwiała się. - Wykończysz się.

- Czyżby? - roześmiał się ironicznie. - Ty już padasz ze zmęczenia. Nie mogę spokojnie patrzeć, jak giniesz marnie, jesteś mi potrzebna.

Jestem mu potrzebna? Te słowa zaniepokoiły ją, wywołując jednocześnie dziwnie przyjemny dreszcz.

- Możemy porozmawiać podczas posiłku - zaproponował. - Jeżeli nie zaczniesz się odpowiednio odżywiać, znów zemdlejesz. Z czym zrobić ci kanapkę?

- Tym razem ja coś przyrządzę. Nie możesz robić wszystkiego. Pora, żebym wreszcie ja się czymś zajęła - powiedziała zmieszana.

- Możesz coś zrobić - powiedział obcesowo, unikając jej wzroku. - Idź się ubrać.

Zaczerwieniła się. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że nie ma nic pod szlafrokiem. Co więcej, wszystko wskazywało na to, że on też wie o tym.

Opowiedział jej, jak zemdląca, jak położył ją do łóżka. Stary, obszerny szlafrok ma wystrzępiony pasek, który często się rozwiązuje. Nic dziwnego, że Yates tak dziwnie się zachowuje, pomyślała. Jest skrepowany. Zawstydzona, wybiegła pośpiesznie z kuchni.

Nic się nie stało, wmawiał sobie Yates, choć znów wyprowadziła go z równowagi. Nie na tyle, żeby się z tym nie uporać. Musi po prostu bardziej uważać, uodpornić się na jej wdzięki. Ma być nieszkodliwym urzędnikiem, najlepiej zaś - bratem.

Ale, do diabła, jak tu zapanować nad emocjami, kiedy ona zjawia się nagle na werandzie, z rozpuszczonymi złotymi włosami, w szlafroku na tyle krótkim, że trudno nie dostrzec zgrabnych nóg. Jej lekko zaróżowiona twarz, nie w pełni jeszcze rozbudzona, jakże była piękna!

Temu wszystkiemu musiał się oprzeć. To nic, wmawiał sobie, to jedynie fizyczne doznania. Trzeba panować nad zmysłami, a może to robić tylko widząc ją u boku Gibbsa, chociaż myśl tego rodzaju sprawiała mu ogromną przykrość. Abbie należała do Lucky'ego bez względu na to, jak bardzo był temu przeciwny.

Po lunchu usiedli przy długim dębowym stole w gabinecie dziadka. Yates z desperacją wpatrywał się w ekran komputera.

- Nie mogę nic znaleźć - narzekał.

Abbie oparła łokcie na blacie i również utkwiała wzrok w monitorze.

- Spróbuj jak najprościej mi to wyjaśnić - poprosiła postanawiając, że postara się zrozumieć, na czym polega problem.

Yates odetchnął głęboko. Poprawił okulary i z jeszcze większą uwagą skoncentrował się na ekranie.

- Nie ma danych o zbiorach na twardym dysku, a przecież musiały tam być. Jest dużo innych rzeczy - listy, gry, nawet jakieś opowiadanie, ale nie ma spisu monet ani znaczków. Nic, co dotyczyłoby kolekcji.

- Na pewno rejestrował w komputerze dane o zbiorach. Pamiętam, że poświęcał na to dużo czasu, ale musiał ciągle dawać komputer do naprawy. Całe zbiory zniknęły z... jak to się nazywa... pamięci?

Yates odsunął się od stołu, zamyślony.

- Twój ojciec mówił to samo. Ale opowiedz mi swoją wersję. Może pamiętasz coś, o czym on zapomniał? - prosił z uśmiechem.

Próbowała odwzajemnić uśmiech.

- Mój dziadek uwielbiał komputer - powiedziała.

- W ciągu kilku ostatnich lat niewiele wychodził. To jego ostatni większy zakup, zastępował mu cały świat.

- Podobno był bogaty - podjął Yates.

- Kiedyś, dawno, owszem. Po drugiej wojnie światowej kupił ziemię w Oklahomie, na ślepo, nawet jej nie oglądając. Zaryzykował i miał szczęście. Tam była ropa. Dziadek był hodowcą bydła, nie prowadził żadnych interesów. Cieszył się tym, co posiadał tutaj i nie chciał się stąd ruszać. Przysyłali mu czeki.

Yates wstał i zaczął się przechadzać po pokoju.

- Prawdopodobnie wtedy zaczął kolekcjonować znaczki i monety - domyślił się. - Za te czeki kupował eksponaty.

Abbie odwróciła twarz i utkwiała wzrok w blacie stołu.

- Tak. Najpierw monety, potem znaczki - przyznała.

Mężczyzna stanął przed regałem i wyjął z niego jakąś zniszczoną książkę. Była to encyklopedia cennych monet. Otworzył ją na chybił trafił.

- Po dwudziestu kilku latach pieniądze skończyły się, więc przestał kupować.

- Tak, to prawda. Szyby naftowe wyschły. Dziadek zaczął wtedy prowadzić handel wymienny z innymi kolekcjonerami, za pomocą poczty.

- Od czasu do czasu chyba coś dokupował? - zgadywał Yates.

- Tak, ale rzadko.

- Czy nigdy nie chciał sprzedać zbiorów? Nawet wtedy, gdy ranczo zaczęło przynosić straty?

- Nie - zaprzeczyła gwałtownie. - Traktował kolekcję jako lokatę kapitału. Uważał, że z czasem nabierze jeszcze większej wartości. Sądził, że zostawi nam fortunę, oczywiście jeśli kolekcja pozostanie nietknięta.

Uśmiechnęła się ironicznie. Wołałaby oczywiście, żeby dziadek żył, nie obchodziło ją, ile warte są jego zbiory. Odkąd umarł, nie oglądała klaserów. Po prostu nie mogła. Strata była zbyt bolesna.

- Wspomniałaś, że komputer był ostatnim jego poważniejszym zakupem?

- Tak - przyznała ze smutkiem. - Tata uważał to za szaleństwo, dziadek natomiast uwielbiał to urządzenie. Sprawiało mu wiele radości. Katalogowanie kolekcji, sporządzanie inwentarza... komputer ułatwiał to wszystko.

- Mimo że tak często się psuł?

- Mówił, że to jest tak, jak z zakochaniem się w niewłaściwej kobiecie, która wciąż zdradza. Jak wspomniałam, ginęły dane z pamięci. Dziadek denerwował się, kłął i oddawał sprzęt do naprawy. Ci, którzy mieli usunąć

uszkodzenie, przysyłali go z powrotem, twierdząc, że wszystko jest w porządku. Uważali, że dziadek popełnia jakiś błąd.

- I?

- Przypuszczam, że mieli rację. Pod koniec życia dziadek miał krótką pamięć. Nie udawało się przewidzieć, co zrobi. To dziwne, ale nadszedł taki moment, kiedy monety i znaczki przestały już mu sprawiać przyjemność. Może myślał, że je uszkodzi, jeśli będzie ich dotykał? Przykro było na to patrzeć.

Yates obserwował ją badawczo.

- To znaczy, że dziadek stał się nieco dziwny?

- Zawsze taki był, ale pod koniec życia nasiliło się to.

Yates odłożył książkę na półkę, wsunął ręce do kieszeni i podszedł do Abbie.

- Do tego stopnia, że nie zabezpieczył swoich zbiorów, przenosząc ich rejestr na dyskietki? Nie zrobił żadnej dodatkowej kopii?

- Kopiował wszystko - wskazała na dwa pudełka, w których znajdowały się dyskietki.

- Sprawdziłem je - powiedział Yates z irytacją. - Nie ma na nich nic, co dotyczyłoby kolekcji. To zbieranina wszystkiego.

- Nie rozumiem - przyznała Abbie.

- Twój dziadek miał sześćdziesiąt dwie dyskietki i każda z nich zawierała dokładnie to samo: jakąś dziwną historyjkę o koniu Buckym.

Abbie poczuła ucisk w sercu.

- Koń Bucky? - powtórzyła. Yates skinął głową w zamyśleniu.

- Frazier powiedział mi, że tak nazywał się koń, którego dziadek miał, kiedy był dzieckiem. Siostra dziadka napisała o tym zwierzaku jakieś opowiadanie. Dziadek mógł mieć wtedy najwyżej dziesięć lat.

- Jego siostra była moją imienniczką - powiedziała Abbie, wzdychając ciężko. - Umarła, mając zaledwie jedenaście lat. Niedługo potem pożar strawił

dom. Spaliły się wtedy prawie wszystkie pamiątki rodzinne - zdjęcia, listy, ale dziwnym trafem to opowiadanie ocalało. Dziadek strzegł go jak oka w głowie.

- Czy to możliwe, że tak bardzo je cenił, że zrobił aż sześćdziesiąt dwie kopie, likwidując cały inwentarz kolekcji, aby mieć wolne dyskiety? Tak dalece zdziwaczał? - zastanawiał się Yates.

W oczach Abbie zakręciły się łzy.

- Nie wiem - przyznała bezradnie. - W każdym razie nigdy się nie pogodził ze stratą siostry. Pod koniec życia jeszcze bardziej za nią tęsknił. Coraz częściej wracał myślami do przeszłości.

- Niewykluczone, że rzeczywiście popełniał jakiś błąd - myślał głośno Yates. - Może sądził, że uaktualnia dyskiety, a naciskał złe klawisze i mimowolnie kopiował wciąż to samo.

- Wolę o tym nie myśleć - przyznała Abbie z płacziwą miną. - W młodości był taki inteligentny, taki mądry.

- Może jeszcze nie wszystko stracone - powiedział Yates z nadzieją w głosie. - Znalazłem jedną dyskietkę, schowaną oddzielnie, w tylnej części szuflady. Ma nalepkę z napisem „Spis” i datę. Sporządzono ją osiemnaście miesięcy temu. Nie mogę jej odtworzyć, nie znając hasła. Próbowałem na wszystkie sposoby, każde słowo, które może mieć jakiś szczególny sens: kolekcja, inwentarz, monety, znaczki, imię dziadka, twoje, wszystkich członków waszej rodziny. Próbowałem nawet Bucky'ego. Nic z tego.

- Na tej zasadzie można by próbować z niezliczoną liczbą słów - powiedziała Abbie z powątpiewaniem.

- Właśnie. A może ty masz jakiś pomysł? Nic ci nie przychodzi do głowy?

- Nic.

Abbie popatrzyła na niego zatroskana. Na pewno był bardzo zmęczony, chociaż się do tego nie przyznawał. Miała ogromną ochotę wyciągnąć rękę i

rozluźnić mu krawat, rozpiąć kołnierzyk, zmierzwić włosy. Powinien trochę odpocząć.

Nagle podniósł wzrok i ich oczy spotkały się. Wstrzymała oddech, nie opuściła wzroku. Uśmiechnęła się, trochę zażenowana. Yates, równie zakłopotany, założył okulary i strzepnął niewidoczny pyłek ze spodni.

- Na czym to skończyliśmy? - podjął znów. - Zamyśliłem się jakoś.

Abbie patrzyła w ekran komputera. Serce przepelniało jej dziwne, nieokreślone uczucie, a przecież ich spojrzenia spotkały się zaledwie na ułamek sekundy.

- Rozmawialiśmy o dyskietce - przypomniała. Wstał znów i zaczął spacerować po pokoju.

- Może się okazać, że będziemy musieli od początku sporządzać spis monet i znaczków - powiedział. - Ale nie wiem, od czego zacząć. Nie mogę znaleźć żadnych notatek.

Podszedł do stołu i otworzył skoroszyt, w którym znajdowały się kartki wypełnione hasłami. Pokazując go Abbie, niechcący dotknął ramienia dziewczyny. Jej ciało wyprężyło się. Dlaczego Yates wywoływał w niej takie reakcje? Kiedy stał za nią, odczuła znów dziwne drżenie.

- Twój ojciec wspomniał, że większość notatek dziadka została wyrzucona.

Potwierdziła zdanie taty. Do tej pory nikt w rodzinie nie przywiązywał wagi do zapisków dziadka. Wszyscy sądzili, że cały spis kolekcji jest zawarty na dyskietkach.

- Kiedy dziadek zmarł - zaczęła z wolna - w jego gabinecie panował okropny bałagan. Od dawna nie wyrzucał gazet, czasopism, nawet ogłoszeń. Wszędzie były porzrzucone papiery. Zabraliśmy się więc wszyscy energicznie do pracy, chcąc przywrócić porządek.

- Jak to... wszyscy? - zainteresował się Yates.

- No... tata, moi bracia, i Lucky, nawet on pomagał. Przyjechał, gdy tylko dowiedział się o śmierci dziadka. Bardzo się lubili. Lucky też się interesował monetami. Ogromnie nam wtedy pomógł.

- Wyobrażam sobie - mruknął Yates.

Czyżby usłyszała sarkazm w jego głosie? Nie, to tylko złudzenie, pomyślała.

- Może powinniśmy najpierw przejrzeć monety, a potem znaczki? Wcześniej czy później, i tak będziemy musieli zająć się nimi - zaproponowała.

Potrząsnął głową przecząco.

- To zrobimy na końcu. Muszę mieć spis, inaczej mógłbym coś przeoczyć. Skąd mogę wiedzieć, czy niczego nie brakuje?

Przyznała mu rację.

- Ta dyskietka jest ostatnią szansą - upierał się. - Musimy ją odtworzyć. I czuję, że nam się to uda.

- Skąd ta pewność? Sądzisz, iż stanowimy tak dobraną parę, że razem możemy dokonać cudów?

Zaraz zaczęła żałować, że nie ugryzła się w język. Zmieszana zerknęła na zegar ścienny, odsunęła krzesło i wstała pośpiesznie.

- Już prawie pierwsza. Trzeba nakarmić Frosty'ego - powiedziała.

Wstał razem z nią, a kiedy podeszła do drzwi, zagroził jej drogę.

- Pomogę ci - powiedział tonem nie znoszącym sprzeciwu.

- Nie, dziękuję - potrząsnęła głową.

- Frosty zaczyna wstawać. Chyba sama nie dasz rady, tym bardziej że on waży około trzydziestu kilogramów.

- Jestem silna.

Chciała przejść bokiem, ale Yates wyciągnął rękę, żeby ją zatrzymać. Już mu się wymykała, gdy chwycił jej łokieć. Dotyk poraził ją. Spojrzała na niego zatrwożona. Przez ułamek sekundy zniknęła mu z twarzy cała łagodność, ale już

po chwili uśmiechał się rozbijająco. Puścił ją, poprawił okulary i wyprostował krawat.

- Przepraszam - powiedział. - Nie chciałem się wtrącać w twoje sprawy. To się już więcej nie powtórzy.

- Całe szczęście - odetchnęła.

Nie odsunęła się jednak. Stali blisko siebie, spięci, jakby się jedno drugiego obawiało. Oddychali z trudem. Nagle zadzwonił telefon. Abbie miała wrażenie, że przerwano brutalnie jakieś niepokojące oczarowanie. Wróciła jej świadomość. Popędziła do salonu.

- Halo, Lucky? - zawołała lekko drżącym głosem. Przestała się uśmiechać, gdy zorientowała się, że

Yates stoi w drzwiach i patrzy na nią.

- Ja też cię kocham - odpowiedziała narzeczonemu i w tej chwili jej oczy napotkały spojrzenie Yatesa. - Bardzo cię kocham - powtórzyła żarliwie, z powagą, jakby się modliła.

Kocham go naprawdę, myślała. Całym sercem. Nigdy go nie zdradzę ani nie będę okłamywała. Zawsze będę mu wierna.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Abbie stała odwrócona tyłem do Yatesa.

- Gdzie jesteś? - zapytała Lucky'ego zniecierpliwiona. - Może jednak uda ci się przyjechać na święta?

- Niestety, nie, kochanie - odparł. - Jestem na Hawajach.

Pokój nagle wydał się jej za ciasny, dusiła się w nim. Co robił tak daleko?

- Na Hawajach? - powtórzyła, nie dowierzając.

- Takiej oferty nie mogłem odrzucić. Jest nowe rodeo w Honolulu.

- Mówiłeś przecież, że będziesz na wybrzeżu...

- Ale tu więcej zarabiam, kochanie.

- Dlaczego akurat tam, skąd taki pomysł?

- Zaproponował mi to kumpel, *paniola*, który brał udział w rodeo na Zachodnim Wybrzeżu.

Twarz dziewczyny odzwierciedlała bezgraniczny smutek. Słowa rozmowy telefonicznej ledwo do niej docierały. Próbowwała jednak panować nad sobą.

- Co to takiego... *paniola*?

- To hawajski kowboj, najdroższa, tak ich tu nazywają. On pracuje dla pewnego bogatego faceta, który przysłał mu prywatny samolot i kazał sprowadzić bardziej utalentowanego jeźdźca rodeo, żeby podnieść rangę zawodów. Chyba nie muszę ci mówić, na kogo się zdecydowali?

- Ale...

- Ten człowiek za wszystko płaci. Hotel jest przy samej plaży. Siedzę właśnie na tarasie z widokiem na ocean.

Nie wspomniał, że chciałby być tam z nią. Nawet nie powiedział, że tęskni, ale próbowała go zrozumieć. Zawsze starała się być wyrozumiała w stosunku do niego.

- To brzmi wspaniale - zdołała wykrztusić.

- Takie jest życie, kochanie. Boże, gdyby te tępaki z poprawczaka widziały mnie teraz. I w ogóle wszyscy ci, którzy mówili, że nic ze mnie nie wyrośnie. Po raz pierwszy w życiu coś osiągnąłem. I wrócę z forszą. Będziesz ze mnie dumna, zobaczysz.

Abbie poczuła ucisk w sercu. Lucky doznał wielu upokorzeń, dlatego sukces tyle dla niego znaczył. Cieszył się jak dziecko. Nigdy dotąd nie zaznał szczęścia. Powinna dzielić jego radość. Poza tym pojechał tam do pracy, zarabiać pieniądze, dzięki którym mogliby ułożyć sobie przyszłość. Co za różnica, w Kalifornii czy na Hawajach?

W pewnej chwili usłyszała w tle śmiech kobiety. Nie była podejrzliwa ani zazdrosna, ale zadrzała...

- Jak wrócisz? - zapytała, siląc się na spokój.

- Ten facet zabiera nas samolotem, przylecimy dopiero po świętach. Nic na to nie poradzę.

- Lucky, tu się tyle wydarzyło...

- Jaka u was pogoda?

- Co to ma wspólnego z...

- Tu jest upał, palmy, błękitna woda, wszędzie kwiaty.

- Tyle się tu wydarzyło. Sprint miała źrebaka.

- Ta stara kobyła? O tej porze roku? - roześmiał się drwiąco.

Abbie zacisnęła zęby.

- Źrebak o mało nie zmarnował się.

- Chyba lepiej by było dla niego, gdyby zdechł, kochanie.

Powiedział to w taki sposób, że poczuła się, jakby ją ktoś uderzył. Czy Lucky musi do tego stopnia być zachwycony sobą? Nawet nie raczy wysłuchać, co ona ma do powiedzenia.

- Są jeszcze inne sprawy - zaczęła znów. - Przyjechał na ranczo pewien mężczyzna, żeby...

Wyraźnie usłyszała jakieś przekomarzanie się po drugiej stronie linii. Chłopak mówił stłumionym głosem, jakby trzymał rękę na słuchawce.

„Przestań”, szeptał do kogoś.

- Lucky?

- Już, już. Co?

- Powiedziałałam...

Ale znów rozmowę przerwały dziwne odgłosy. Gibbs najwyraźniej tłumił śmiech.

- Muszę już kończyć, kochanie. Są jakieś trzaski na linii.

- Gdzie jesteś? - zapytała zniecierpliwiona. - W którym hotelu? Gdybym się chciała z tobą skontaktować...

- Kochanie, nie słyszę cię. Do zobaczenia po Nowym Roku. Zobacysz, jakie prezenty ci przywiozę. Na pewno ci się spodobają.

Odłożył słuchawkę. Abbie stała wciąż przy telefonie, jak przygwożdżona. Wreszcie i ona z trzaskiem rzuciła słuchawkę.

Nagle drgnęła. Przestraszył ją głos ojca.

- A więc Lucky jest na Hawajach? Jak to miło... dla niego.

Odwróciła się i zobaczyła ojca w drzwiach kuchni. Opatulony w grubą kurtkę, wyglądał jak niedźwiedź. Twarz poczerwieniała mu od mrozu, plecy pochyliły się ze zmęczenia. Dżinsy były mokre i pokryte lodem od kolan w dół, a buty nasiąknięte wodą. Kiedy zdjął rękawice, z przerażeniem zauważyła, że ma popękane i zakrwawione palce. Chociaż niedawno jeszcze buntowała się przeciwko niemu, teraz ogarnęła ją fala współczucia.

- Chciałbym i ja być na Hawajach - powiedział Frazier, rozwiązując szalik i zdejmując kapelusz. - Chciałbym, nie ma co! - powtórzył, patrząc jej prosto w oczy i jednocześnie dmuchając na obolałe palce.

Abbie rozejrzała się. Yates, na szczęście, zniknął. Prawdopodobnie siedzi znów przy komputerze.

- Nie powinienes pracować tak ciężko - powiedziała, siląc się na opanowanie.

- Nie mam wyboru. Muszę, bo inaczej ranczo padnie. Wszyscy nie możemy być tacy, jak Lucky.

- On też pracuje - powiedziała z uporem. - Niemal codziennie. Tylko tak się akurat składa, że robi to na Hawajach.

- Ujeżdżanie byków! Rodeo! - Frazier roześmiał się gorzko. - To rzeczywiście praca dla mężczyzny z głową na karku! Zawód z przyszłością!

Zdjął przemoczony but i mokrą skarpetę. Stopa była nienaturalnie blada, jakby przestała do niej dopływać krew.

- Coś ty zrobił? - zawołała Abbie przerażona. - Wpadłeś do wody? Jesteś cały przemoczony! Odmrozisz sobie nogi albo dostaniesz zapalenia płuc!

- Aha - mruknął Frazier, wykrzywając usta z bólu, gdy zdejmował drugi but. - Przewróciłem się. Chcieliśmy z Mingusem skuć lód na rzece, ale pośliznąłem się. Całe szczęście, że nie wpadłem głębiej. Muszę zaraz wracać, pomóc Mingusowi.

Ściągnął skarpetkę i próbował kurczyć i rozkurczać palce - szare, pomarszczone. Twarz wykrzywił mu ból. Abbie obserwowała go.

Nagle zachciało jej się płakać z powodu zdrady narzeczonego i cierpienia ojca. Ledwo powstrzymała łzy.

- Zrób sobie kąpiel i przebierz się w suche rzeczy. Ja tymczasem przygotuję ci coś do jedzenia.

Frazier z trudem wstał z krzesła i zdjął kurtkę.

- Sam sobie coś przyrządzę. Przecież ty musisz nakarmić żrebaka.

Abbie popatrzyła na ojca z troską. Stał niepewnie na zdrętwiałych, nogach. Wydawało się, że postarzał. Wyglądał na bardzo zniszczonego pracą.

- Żrebak może poczekać - powiedziała. - Zaparzę kawę.

Ruszyła do kuchni, ale ojciec wyciągnął rękę i zatrzymał ją w drzwiach. Bez słowa odwrócił jej twarz ku sobie.

- Poradzę sobie sam, córeczko. Czy naprawdę chcesz coś dla mnie zrobić?
Nie chcę twojej kawy, zupy, nic z tych rzeczy.

Przypatrywał się jej uważnie. Zmarszczki pogłębiły mu się, ale oczy tchnęły życzliwością.

- Najlepsze, co możesz dla mnie zrobić, to zdać sobie wreszcie sprawę, kim naprawdę jest Lucky. To przecież kawał drania i nigdy już się nie zmieni.

Abbie potrząsnęła głową z rezygnacją.

- Nie martw się o mnie. Pilnuj swoich spraw. Lepiej zadbałbyś o ręce. Ja dam sobie radę.

Frazier pochylił nad nią zasmuconą twarz.

- Abbie, nie mogę znieść tego, jak on cię traktuje.

- Traktuje mnie, jak równą sobie - przerwała mu buntowniczo. - Nie potrzebuję, żeby mnie zasypywał bukietami kwiatów. Nie jestem już dzieckiem. Lucky nie musi być ze mną przez cały czas, żebym wiedziała, czy jest mi wierny.

- Skąd ta pewność, że jest? Tak rzadko się spotykacie. Masz za miękkie serce dla tego nicponia.

- Nie mów tak! - rzuciła zaciekle. - Nie masz pojęcia, jak on ciężko nad sobą pracował, ile musiał przejść! Mogą cię razić jego maniery, ale gdzie miał się ich nauczyć? - Odezwał się w niej znów instynkt opiekuńczy. - Ta eskapada na Hawaje dowodzi właśnie, jak bardzo się zmienił - dodała z dumą.

- Zawsze myślał o sobie, nie o tobie. Potrafił cię rozbawić, umie być nadzwyczaj miły, to fakt, umiał też bezwstydnie podlizywać się dziadkowi. Ale to samolubny...

- Nie mów tak, proszę.

- Jak możesz go bronić? Nawet się nie pofatyguje, żeby cię odwiedzić w czasie Bożego Narodzenia.

- Niby dlaczego miałby tu przyjeżdżać? - odparowała. - Przecież masz go za nic. Tylko dziadek był dla niego dobry, nikt więcej. To chyba normalne, że woli przebywać z tymi, którzy go dobrze traktują.

Frazier westchnął, pokręcił głową.

- Kochanie, jesteś najbardziej upartą kobietą, jaka kiedykolwiek stąpała po ziemi. Musisz przyznać mi rację.

Ale Abbie wyrwała mu się.

- Znajdę jakiś środek odkażający i maść - powiedziała, tym samym ucinając rozmowę dotyczącą Gibbsa.

Wolnym krokiem ruszyła do łazienki, walcząc z uczuciami. Jeśli nawet swoją argumentacją nie przekonała Frazier, to na pewno przekonała siebie. Dlaczego Lucky miałby spędzać święta w Nebrasce i narażać się na przykrości ze strony ojca i braci? Dlaczego miałby rezygnować z wyjazdu do pięknego, ciepłego kraju, gdzie może zdobyć nagrodę?

Chociaż ją zranił, pozostanie mu wierna. Przecież ludzie, którzy naprawdę się kochają, są sobie zawsze wierni. Święcie wierzyła, że kocha go naprawdę.

Wciąż jeszcze wzburzona, poruszona rozmową z ojcem, nakarmiła Frosty'ego. Frazier już wyszedł, chcąc pomóc Mingusowi. Yates pracował w gabinecie dziadka. Chciała do niego zajrzeć, ale zadzwonił telefon. Może, pomyślała z nadzieją, Lucky chce ją przeprosić, że tak szybko uciał rozmowę?

To nie był Lucky, tylko jej najstarszy brat, John.

- Abbie, mam złe wieści. Nie uda nam się przyjechać na święta.

- Jak to, nie przyjedziecie? - Abbie nie mogła zrozumieć. - John, to nasze ostatnie Boże Narodzenie na ranczu. Musicie przyjechać! Przecież zawsze spędzaliśmy święta razem.

- Ab, nic na to nie poradzę. Sandy jest w ciąży. Nie planowaliśmy tego, ale stało się i jesteśmy szczęśliwi. Nie najlepiej się czuje i lekarz zabronił jej podróżować.

John zostanie wreszcie ojcem? Abbie trudno było uwierzyć. Oboje, brat i jego żona, pragnęli mieć dziecko, ale z pensji nauczycielskiej nie było im łatwo, więc wciąż to odkładali. Abbie ogromnie się cieszyła ze względu na nich, a jednocześnie było jej szalenie przykro, że nie przyjadą. Tak bardzo liczyła na tę wizytę! Johna lubiła najbardziej, z Sandy też była zżyta. Zreflektowała się jednak szybko, przecież nie może być egoistką!

- Gratuluję wam! - wykrztusiła. - Będziecie najlepszymi rodzicami pod słońcem. To wspaniale.

- Posłuchaj, Ab. Nie stać mnie na wysoki rachunek telefoniczny. Powiedz tacie, dobrze? Nie możemy przyjechać, ale sercem będziemy z wami.

- Tata na pewno się ucieszy. Nic nie powie, jak zawsze, ale w duchu nie będzie mógł opanować dumy.

- Posłuchaj - wyczuła wahanie w głosie Johna. - Przykro mi, że nie przyjedziemy, głównie ze względu na ciebie.

Ostatnio nie najlepiej się między nimi układało, chociażby z powodu planowanej sprzedaży rancza.

Abbie coraz wyraźniej czuła ciężar winy. Jak ognia bała się nieporozumień i kłótni. Te ostatnie święta na ranczu miały być czasem pojednania i spokoju. Tak chciała, żeby spędzili je razem.

- Znacie wszyscy moje zdanie na temat sprzedaży farmy - powiedziała. - Nie chcę stwarzać problemów, tylko że...

- Nie musisz nic wyjaśniać - przerwał jej John. - Mnie też jest przykro z tego powodu. Ale zrozum, tata jest już stary. Nie mówi o tym, nie skarży się, nigdy by się do tego nie przyznał, ale już nie może tak ciężko pracować. Ma nadciśnienie, i to poważne. Jeśli nie zwolni tempa, w każdej chwili może mieć wylew.

- Nadciśnienie? Dlaczego nikt mi o tym nie powiedział?

- On nie chciał cię martwić. Ty zawsze zadręczasz się, myśląc o całej rodzinie. Ja też bym nie wiedział, gdyby nie Preston. Ostatnim razem, kiedy był

w domu, zobaczył lekarstwo w apteczce. Wiedział, na co się je bierze, przyparł tatę do muru i zmusił go, żeby się przyznał.

Z początku Abbie nie dopuszczała myśli o chorobie ojca, ale stopniowo ogarniał ją coraz większy lęk. Preston studiował medycynę, nie mógł się mylić.

- Nie wpadaj w panikę - John jakby odgadł jej myśli. - Na szczęście, nic mu się jeszcze nie stało. Musiałem ci o tym powiedzieć, bo chcę, żebyś zrozumiała, że sprzedaż rancza jest konieczna.

Abbie z trudem hamowała łzy.

- Więc wiedzieliście wszyscy, oprócz mnie?

- Zamierzałem ci powiedzieć, Abbie, ale Preston uznał, że łatwiej będzie powiedzieć ci na miejscu, gdy przyjedziemy.

- To znaczy, że tata nie uważa mnie za dorosłą.

- Jesteś najmłodsza z nas. I jako jedyna dziewczyna... jesteś oczkiem w głowie. Znasz tatę, nie lubi, jak się ktoś nad nim lituje. Poza tym, on się o ciebie bardzo martwi. Wszyscy się martwimy, Abbie. Ten cholerny Lucky Gibbs...

Smutek Abbie przerodził się nagle w oburzenie.

- John, przynajmniej ty mógłbyś dać mu spokój. Czemu znów zaczynasz?

- Nie zaczynam. Przez cały czas miałem o nim określone zdanie.

- Nie chcę tego słuchać. Tak się cieszyłam, że wszyscy przyjedziecie, że porozmawiamy o ranczu. Po co się kłócić, przecież was kocham.

- Abbie, nie bądź dziecinna. Próbuję z tobą rozmawiać poważnie. Staram się przynajmniej.

- Czy nie mogę nawet powiedzieć o swoich uczuciach? Mówię prawdę, rzeczywiście tak czuję! Nikt z naszej rodziny nie potrafi o tym rozmawiać!

- To, że nie rozmawiamy o uczuciach, wcale nie oznacza, że ich nie żywimy. Poza tym zmieniasz temat. Zastanawialiśmy się nad Luckym.

- John, przestań, proszę. Nie rozumiesz go, to wszystko. On szpanuje, ale w rzeczywistości jest zupełnie inny.

- Abbie, nie powinienem tego mówić, ale nie czeka cię nic dobrego z tym facetem. On opowiada ci wciąż jakieś ckiwe historie, dzięki którym będziesz go bronić bez względu na wszystko, co zrobi.

- Dość tego! Jeśli nie przyjeżdżasz na święta, nie pogarszaj jeszcze sytuacji, robiąc mi wymówki. Chyba możesz chociaż tyle dla mnie zrobić?

Przez chwilę nie odzywał się. Wreszcie usłyszała ciche westchnienie, jakby zrezygnował z przekonywania jej.

- W porządku. Wracając do rancza, już chyba rozumiesz, że trzeba je sprzedać?

- Rozumiem. Szkoda tylko, że o wielu sprawach dowiedziałam się dopiero teraz.

- Ja też żałuję, ale wiesz, jaki jest tata.

- Wiem.

- Zadzwoń jeszcze raz w święta. Będzie mi brakowało wspólnego ubierania choinki.

- Cieszę się, że będziecie mieć dziecko. Jeszcze raz gratuluję.

- Dziękuję, Ab.

Po skończonej rozmowie długo jeszcze wpatrywała się w aparat telefoniczny. To typowe dla ojca, że nie przyznał się do złego samopoczucia. Wstyd jej było kłótni z nim, przysparzających mu jeszcze trosk. Musi się wreszcie zmobilizować i pomóc tacie, przygotowując dom na święta. Co roku z dziadkiem i Johnem jechali do lasu po choinkę, a potem ubierali ją z Johnem. To była tradycja. Dobrze chociaż, że przyjadą pozostali dwaj z żonami i dziećmi, pomyślała. Zetnie choinkę sama. I postara się zadbać o ojca.

Zaczęła się ubierać w grubą zimową kurtkę.

- Dokąd się wybierasz? - zapytał Yates, który przyszedł właśnie z gabinetu do kuchni, żeby sobie dolać kawy.

- Po prostu wychodzę - ucieła.

Dlaczego w jego obecności czuła się winna? Zupełnie, jakby zdradzała Lucky'ego, będąc tak blisko z innym mężczyzną. Przecież to bez sensu, strofowała się w duchu.

- Widzę, ale dokąd? - powtórzył pytanie.

- Do lasu, po choinkę - odparła szorstko. - Zawsze wycinaliśmy ją z bratem i dziadkiem, ale John właśnie zadzwonił, że nie przyjedzie, więc muszę to zrobić sama.

- Sama?

- Owszem.

- To musi być wyjątkowo małe drzewko, skoro ty masz je ścinać i ciągnąć do domu - uśmiechnął się, szczerze rozbawiony.

- Wcale nie - zaprzeczyła buntowniczo. - Już je sobie upatrzyłam. Jest całkiem duże, wyższe nawet od ciebie.

Wciąż się uśmiechał.

- Chyba jednak powinienem się z tobą wybrać.

- Nie potrzebuję pomocy - powiedziała stanowczo.

- Naprawdę? Ale ja i tak muszę odpocząć od tego cholernego komputera.

Wzruszyła ramionami, jakby chciała tym wymownym gestem zaznaczyć obojętność wobec tego, co on robi.

- Czy któryś z braci jest mojego wzrostu? Może znalazłyby się dla mnie jakieś ubrania?

Przyjrzała mu się obojętnie.

- John - odparła. - Ostatni pokój po lewej stronie. Ja zaczekam w stajni.

- W stajni?

- Tam są stare sanie. Zawsze przywozimy nimi choinkę. Zaprzęgnę tymczasem konia. Pośpiesz się, nie mam zamiaru długo czekać. Za dwie godziny muszę być z powrotem, żeby nakarmić Frosty'ego.

- Dobrze - powiedział z zawadiackim uśmiechem.

Odwróciła się na pięcie i wyszła. Niech się głupio uśmiecha, pomyślała z drwiną. Zaprzęgnę konia i odjadę, zanim się w ogóle spostrzeże. Zapewne będzie jedynym mężczyzną w całej Nebrasce, który wkłada robocze buty na jedwabne skarpetki.

Ledwo jednak wyprowadziła starą klacz, a on już był przy niej, gotów do drogi. Dotychczas nigdy nie zaprzęgała sama, a nawet z pomocą robiła to tylko raz w roku. Niewprawne ręce nie mogły się uporać z tym zajęciem. Yates zaczął jej pomagać, chociaż wcale go o to nie prosiła.

- Dam sobie radę - protestowała jeszcze. - Dziadek nauczył mnie zaprzęgać.

- Mój też mnie tego uczył - powiedział ze stoickim spokojem i rzeczywiście, szło mu to znacznie lepiej niż jej.

Abbie nie mogła się uporać ze strzemiączkiem, mocowała się z nim, starając się nie patrzeć na Yatesa. Mimochodem zauważyła jednak, że ubranie Johna, które miał na sobie, zmieniło go nie do poznania.

- Stara, czerwona kurtka była mocno dopasowana na ramionach, podkreślając ich szerokość. W spłowiałych dżinsach nogi sprawiały wrażenie dłuższych i bardziej muskularnych. W długich, znoszonych butach wydawał się jeszcze wyższy. Na głowie miał kapelusz, zsunięty na oczy. Tylko okulary i aparat słuchowy nie pasowały do całości, podobnie jak rękawice. Były dziurawe, ale innych nie udało mu się znaleźć. Nie przejmował się tym. Przeciwnie, wyglądał tak naturalnie w stroju ranczera, jakby się z nim nigdy nie rozstawał.

Zakończył zaprzęgać konia po swojej stronie i przeszedł na drugą, żeby pomóc Abbie.

- No, no, a to niedobra matka - powiedział, patrząc na starą Sprint. - Ależ Frosty jest do niej podobny, taki sam siodłowato wygięty grzbiet...

- Mnie się podoba - ucięła dziewczyna.

- Naprawdę? - zdziwił się.

Oboje sięgnęli po lejce i na ułamek sekundy ich ręce spotkały się. Abbie błyskawicznie cofnęła dłoń i poklepała grzbiet klaczy.

- To był koń mojej mamy - wyjaśniła. - Wiem, że Sprint nie jest urodziwa, ale... - Jej głos załamał się, bo właściwie nie była w stanie wytłumaczyć, ile ta stara kobyła dla niej znaczy.

- Rozumiem - Yates skinął głową. - Chcesz powozić, czy wolisz, żebym ja to robił?

Spojrzała na niego ukradkiem. Sprawiał wrażenie, jakby był przekonany, że potrafi powozić saniami.

- Wolę sama. Od lat to robię. Tylko z uprzężą nie daję sobie rady, bo zawsze mi ktoś pomagał. Dziadek nauczył mnie powozić, zanim ukończyłam dwanaście lat.

Nagle z żalem uświadomiła sobie, że po raz ostatni zaprzęgała starą Sprint. Nie mogła sobie wyobrazić rozstania z końmi. Co się z nimi stanie? Ojciec pozwoliłby je zatrzymać, ale gdzie, gdy sama zamieszka w mieście?

- O co chodzi? - zapytał Yates, jakby odgadł jej myśli. - Pobladłaś. Dobrze się czujesz?

- Nic mi nie jest - skłamała.

Z trudem jednak powstrzymywała się od płaczu, bo nie opuszczała jej myśl o bliskim rozstaniu z farmą.

- Jedźmy już - powiedziała szorstko, ganiąc się w duchu za roztkliwienie się w obecności Connleya. Gdyby był z nią Lucky, to co innego. Na pewno by ją zrozumiał, pocieszył, mówiąc, że wszystko się jakoś ułoży.

Yates natomiast przyglądał się jej uważnie, z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Jechała, zgodnie z jego oczekiwaniami, wprawną ręką trzymając cugle, poganiając lekko starą Sprint. Nie odzywała się podczas jazdy. Klacz biegła truchtem i sanie sunęły po śniegu gładko, przywodząc mu na myśl dawne lata, gdy jeździł saniami swojego dziadka.

Udawał, że obserwuje mijaną okolicę - równinny teren, przechodzący gdzieś w falisty, to znów wznoszący się stromo w górę. Ukradkiem spoglądał wciąż na siedzącą przy nim dziewczynę.

Miała na sobie obszerną zieloną kurtkę i ciemnozielony kapelusz. Włosy, spięte spinką, wysuwały się spod nakrycia głowy, opadając złocistymi lokami na plecy. Jej profil wydał mu się poważny, pomimo zadartego noska, wręcz majestatyczny. Przyszło mu do głowy, że emocje zmieniają wyraz jej twarzy tak, jak zmienia się towarzyszący im krajobraz. Czuł się mimowolnym świadkiem uczuć, targających Abbie. Może, myślał, zaczyna do niej docierać smutna prawda o Luckym? Miał taką nadzieję.

Dojechali do szczytu urwiska. Panowała tu niczym nie zmacona cisza. Słysząc było jedynie szum wiatru, skrzypienie starej skórzanej upręży i stłumiony odgłos kopyt końskich.

Dziwnie zaskoczył go widok, jaki się roztaczał ze wzniesienia, opodal którego zatrzymały się sanie.

- To tutaj - powiedziała głosem, w którym z łatwością wyczytał wzruszenie.

Zsiadła z sań i patrzyła gdzieś w dal, ponad rzeką i rozciągającą się za nią równiną. Jak zahipnotyzowana obejmowała wzrokiem krajobraz.

Yates spojrzał również. Na ogół nie ulegał nostalgii, ale sceneria, którą zobaczył, zwłaszcza rzeka Platte, przypomniała mu inne miejsce, zakątek w dorzeczu Missouri.

Pamiętał, jak chodził z dziadkiem wzdłuż tamtego urwiska, gdzie nie prowadziła żadna ścieżka. Nie była to ich własna ziemia, należała do kogoś obcego. Cały zalesiony teren nie nadawał się do wypasu bydła, jednocześnie jego ukształtowanie, pofałdowanie, stromizna uniemożliwiały uprawę. Te nieużytki, jak mawiał dziadek, były szczególnie cenne, bo kryły pewien sekret.

Kiedyś opowiedział wnukowi tę historię. Zaprowadził go pod wiekowy jałowiec, rosnący w osłoniętej niszy urwiska. Z tego miejsca widać było jak na

dłoni niespokojną, pieniając się w dole Missouri. Za rzeką rozciągały się bezmierne równiny.

Jak wynikało z opowieści, tutaj pochowano niegdyś, pod sękatym jałowcem, praprababkę Yatesa. Myśl o zmarłej kobiecie, należącej do ich rodziny, pochowanej w tak niezwykłym miejscu, wstrząsnęła chłopcem. Dowiedział się wówczas, że jego przodkowie osiedlili się tu po przybyciu z Irlandii. Przeprawili się przez rzekę, kierując się na Zachód. Praprababka zachorowała. Była wówczas w ciąży. Umarła podczas porodu. Na świat przyszedł pradziadek chłopca.

Mały Yates stał wpatrzony w bezimienny grób pod jałowcem. Gdyby nie opowieść dziadka, nigdy by się nie domyślił, że ktoś mógł być tam pochowany. Próbował sobie wyobrazić tę kobietę, umierającą daleko od domu. Myśl o niej nie dawała mu spokoju.

Staruszek położył rękę na ramieniu wnuka.

- Chciała spocząć na tym urwisku, skąd roztacza się tak piękny widok. Mówią, że kiedy się ktoś przeprawił przez tę rzekę, dotarł na Zachód. Ona to zrobiła. Znalazła się tutaj. Była z siebie dumna. Uszanowano jej życzenie, ale ponieważ nie było tam cmentarza, pochowano ją u stóp jałowca, w bezimiennym grobie.

Ktoś mógł nawet zakłócać spokój tego miejsca, gdyż o mogile wiedzieli tylko dziadkowie, ojciec chłopca, no i teraz on.

Był na tyle duży, że rozumiał wagę usłyszanej od dziadka historii. Jego prapradziadek poślubił inną kobietę i znów wyruszył na Zachód. Potrzebował matki dla nowo narodzonego dziecka, a ona, wdowa, miała już własną, zaledwie trzyletnią córkę.

Prapradziad przeżył również drugą żonę. Poślubił potem trzecią, śliczną i dobrą kobietę. Ale to krew tej, pochowanej na brzegu urwiska, płynie w żyłach Yatesa. Pionierska krew. Pamiętał o tym, dziadek zobowiązał go, żeby kiedyś pokazał to miejsce własnym synom, przekazując im rodzinną sagę.

Teraz poruszał głową, jakby chciał zebrać myśli. Rzadko przypominał sobie słowa staruszka, wypowiedziane nad grobem w tamtym odludnym miejscu. Właściwie nie chciał wracać do przeszłości. Nie miał już rodziny. Był jedynym żyjącym członkiem rodu, który wiedział o tym grobie.

Poczuł na sobie spojrzenie Abbie.

- Wygląda na to, że nie możesz oderwać oczu od rzeki - dziwiła się.

- Zamyśliłem się - powiedział, niezupełnie jeszcze obecny.

Odwrócił się plecami do rzeki, aby go już nie pobudzała do wspomnień.

- A ty co robiłaś? Nie odzywałaś się wcale.

- Też rozmyślałam - powiedziała, wsuwając rękę do kieszeni.

- Którą choinkę wybrałaś? - przypomniał sobie nagle.

- Tamtą - wskazała na wysoki świerk. Było to mocne, zdrowe drzewo, zupełnie niepodobne do pokrzywionego jałowca znad grobu.

Milcząc, wziął siekierę i zabrał się do roboty. Kiedy mieszkał u dziadka na ranchu, jego ulubionym zajęciem było rąbanie drewna. Pozwalało mu to pozbyć się napięcia, lubił tę pracę.

Uderzał z taką precyzją i siłą, że choinka padła w bardzo krótkim czasie. Słodki zapach żywicy unosił się w powietrzu. Yates przyciągnął drzewo bliżej siebie.

- W żaden sposób nie dałabyś sama rady - powiedział.

Wpatrywała się w niego tak uporczywie, aż się przestraszył.

- O co chodzi tym razem? - zapytał.

Może ją czymś zranił? Jej emocje często zaskakiwały go, sam popadał w dziwny nastrój, jakby uczucia były zaraźliwe.

- Sama nie wiem - powiedziała bezradnie. - To takie piękne drzewo. Aż szkoda, że je ścięliśmy.

- Drzewo, jak drzewo - zauważył, nasuwając kapelusz na oczy. - Chciałaś choinkę, to ją masz. Wracajmy już. Trzeba nakarmić Frosty'ego. Muszę znów usiąść przy tym cholernym komputerze.

Wsiadła do sań i wzięła cugle.

- Nie rozumiem, po co to robisz, jeśli ta praca jest dla ciebie przykra? - zapytała. - Patrzyłam, jak ścinasz drzewo. Zabrałeś się do tego z taką wprawą, jakbyś to robił na co dzień. Czasami mnie zaskakujesz. Sprawiasz wrażenie, jakbyś wcale nie musiał siedzieć całymi godzinami przy komputerze. Dorastałeś na ranczu...

Yates przyglądał się jej, będąc ciągle w ponurym nastroju. Smutek na twarzy Abbie dziwnie go wzruszał. Nie chciał się jednak przyznać do uczuć, które nim zawładnęły, odrzucał je.

- Życie na ranczu nie jest lekkie.

- To prawda - przyznała głosem pełnym smutku. Na jej twarzy malowało się coraz większe przygnębienie.

- Twój ojciec wspomniał mi, że rezygnuje z rancza, ale tobie nie podoba się ten pomysł? - drążył dalej, odwracając wzrok.

Machnęła ręką, wykonując gest, który miał zapewne oznaczać, że nie obchodzi ją zamiary ojca. Ale Yates wyczytał w nim ból i rezygnację.

- Brat powiedział, że ojciec jest chory. Ma nadciśnienie. Wiedziałam, że ranczo nie przynosi dochodów, ale... - zamilkła.

- Więc rozumiesz, że Frazier podjął właściwą decyzję? - nagabywał ją dalej. - Przecież w tej sytuacji sprzedaż farmy jest konieczna.

Z trudem hamowała płacz.

- Zdaję sobie z tego sprawę. Wiadomo, że byłoby coraz trudniej. Byłabym egoistką, upierając się. Tylko mimo wszystko niełatwo mi się pogodzić z myślą, że istnieje taka konieczność.

Spojrzała w niebo. Zaczynało się ściemniać i wzmógł się wiatr.

- Nadchodzi zamieć. Wygląda to groźnie. Ale cóż, dziadek wciąż powtarzał, że takie jest życie na ranczu. Człowiek musi się godzić na to, co zsyła mu niebo nad Nebraską.

Z wprawą popuściła lejce, poganiając kobyłę. Yates przyglądał się jej spod okularów. Imponowała mu zaradnością. Podobała mu się coraz bardziej, ale starał się ignorować to spostrzeżenie.

- Mój dziadek mówił dokładnie to samo - przypomniał sobie głośno.

- Jak długo mieszkałeś na ranczu?

Znów przywołała tamte wspomnienia. Od sprawy Claridge'a bardzo często przychodziło mu do głowy, że najlepsze lata spędził właśnie u dziadka. Ale to było tak dawno...

- Osiem lat, od dziewiątego do siedemnastego roku życia - odpowiedział.

- Aż tak długo? - spojrzała na niego zaskoczona. - Dlaczego?

- Moja matka umarła.

- Przykro mi - bąknęła, zatrzymując wzrok na klaczy.

- To było tak dawno temu.

- Domyślam się, że z radością opuściłeś ranczo. Pewnie nie odpowiadał ci taki sposób życia? Yates wolał nie przywoływać znów wspomnień.

- Nieważne. Porozmawiajmy lepiej o tobie. Co zamierzasz robić, kiedy stąd wyjedziesz?

- Nie mam pojęcia - przyznała. - Spędziłam tu całe życie.

Yates poczuł znów lekki ucisk w okolicy serca.

- Słuchaj - powiedział poważnym tonem. - Twój ojciec naprawdę nie ma wyboru.

- Wiem - przytaknęła, nie odrywając wzroku od otaczających ich równin.

Ziemia i poszarzałe niebo, pokryte szybko nadciągającymi chmurami, zlewały się ze sobą.

- Trudno mi się z tym pogodzić, bo bardzo kocham to miejsce... te równiny, przestrzeń, wielkie niebo nad nami... choć nie żyje się tu łatwo.

Łzy znów napłynęły jej do oczu, ale starała się opanować płacz.

- Chyba należę do ginącej rasy. Ale cóż, to jeszcze nie koniec świata. Kiedyś kupimy sobie z Luckym ranczo i wtedy znów będę żyła jak teraz.

Yates słuchał jej z ciężkim sercem. Nie miała szans na szczęście, bo stworzona była do życia, które już zanikało. Cóż jej zostało, prócz ślepej wiary w Lucky'ego, którą i tak będzie musiała niedługo stracić. On sam przyczyni się do tego. Co gorsza wciąż ją okłamuje. Cóż, taka jest twoja praca, podpowiadał mu rozsądek. Dobry tajniak musi umieć kłamać i to wprawnie. Kłamał już tyle lat, że mówienie kłamstw stało się jakby jego drugą naturą.

Hipokryzja na usługach wymiaru sprawiedliwości - to dla niego rzecz niemal naturalna.

Po powrocie na ranczo pomógł jej wyprzeznąć sanie, wytrzeć kobyłę i wnieść pachnącą choinkę do domu, jakby rzeczywiście bardzo mu zależało na tym, by miała udane święta.

Wesołych świąt, pomyślał ponuro, przeciągając drzewko przez drzwi.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Abbie ubrała choinkę, ale nie udekorowała jeszcze domu. Czekwała na przyjazd Prestona, gdyż robili to zawsze razem, od wczesnego dzieciństwa. Odkąd brat założył własną rodzinę, w przystrajaniu pomagała im również jego żona. Stało się to tradycją.

Obyczaje rodzinne chyba zanikają, pomyślała, umieszczając gwiazdę na wierzchołku drzewka. Na razie jednak postanowiła odpędzić od siebie te przykre myśli.

Nakarmiła Frosty'ego i zajrzała do Yatesa, który siedział w gabinecie, wypróbując wszystkie hasła po kolei, bezskutecznie jednak.

Długo nie widziała ojca ani Mingusa. Na ranczu można się wszystkiego spodziewać. Teraz, gdy wiedziała o chorobie ojca, szczególnie niepokoiła się o niego.

Po południu postanowiła pójść do stajni, żeby zmienić ściółkę koniom i posprzątać w przegrodach. Chociaż tyle pomoże tacie, zresztą wyjście z domu było dobrym pretekstem, by pozbyć się dręczącego niepokoju.

Yates uparł się, że dołączy do niej. I tak przecież nie udawało mu się odtworzyć danych z dyskietki. Może praca fizyczna rozjaśni mu umysł? Abbie nie starała się nawet go powstrzymać. Włożył na siebie kurtkę, kapelusz i długie buty Johna i poszedł z nią w stronę zabudowań gospodarczych. Miała wrażenie, że nim też targa jakiś wewnętrzny niepokój.

Praca w stajni była ciężka, niewdzięczna, ale nie uskarżał się. Z wprawą usuwał gnój i wykonywał inne czynności. Odwalił kawał roboty i była mu za to wdzięczna.

Tymczasem na zewnątrz temperatura znacznie się obniżyła. Abbie powprowadzała konie z powrotem do przegród. Spragnione ruchu, stawiały opór. Koń jej ojca, duży gniady wałach, tupał i niemal stawał dęba, gotów w każdej chwili kopnąć. Yates złapał go jednak za grzywę i bez trudu wprowadził do boksu.

Była zaskoczona, nie rozumiała, jak to się dzieje, że ten człowiek z wielką łatwością radzi sobie ze zwierzętami, a jednocześnie potrafi być łagodny i uległy wobec ludzi.

Ale nie miała czasu na rozmyślanie. Gdy wracali do domu, wzmógł się wiatr. Ostry i lodowaty, dał z ogromną siłą. Kryształki marznącego deszczu ze śniegiem wirowały w powietrzu.

- Zamieć śnieżna - szepnęła Abbie przerażona, chowając głowę przed wiatrem.

- Żeby tylko Frazier i Mingus zdążyli się gdzieś schować - Yates mówił przez zaciśnięte zęby. - Zanosi się na srogą nawałnicę.

Jakby na potwierdzenie jego słów podmuch wichru uderzył z taką siłą, że Abbie zatoczyła się. Przyciągnął ją do siebie gwałtownym ruchem w obawie, że

się przewróci. Przytuliła się z ulgą. Objął ją ramieniem i w ten sposób wrócili do domu, zmagając się z oślepiającą zamięcią.

Odetchnęli, gdy wreszcie udało im się dotrzeć na ganek. Tupała nogami, strzepując śnieg z butów i rozcierała zmarznięte dłonie, by odzyskać w nich czucie. Nagle uświadomiła sobie, że Yates wciąż ją obejmuje.

Podniosła wzrok. Miał zaparowane okulary, twarz pociemniała z zimna. Topniejący śnieg połyskiwał na rondzie kapelusza.

Ogarnęła ją przemożna chęć, żeby zdjąć rękawiczki i ogrzać mu rękoma policzki. Czowała na sobie jego palący wzrok. Nagle pochylił głowę i lekko rozchylił usta. Uświadomiła sobie, że ona też unosi ku niemu twarz, bezwiednie otwierając usta, jakby chciała coś powiedzieć. Ale żadne słowa nie przychodziły jej na myśl. Miała wrażenie, że tonie gdzieś na dnie jego oczu. Niemal władczo zacieśnił ramiona i przyciągnął ją bliżej do siebie. Zbliżył usta jeszcze bardziej.

Nagle niemal jednocześnie odskoczyli od siebie, odwracając głowy. Abbie głęboko zaczerpnęła powietrza, przestraszona i zakłopotana. On cofnął ramię i odsunął się. Poprawił okulary, zdjął rękawice i przyglądał się im.

- Ależ tu zimno - odezwał się bez sensu.

- Aha - zabrzmiało to również absurdalnie, jakby słowa, nawet bez znaczenia, mogły zatrzeć osobliwość tej chwili.

Odwrócił się, rozpinając wysłużoną kurtkę.

- Powinnaś wziąć prysznic - powiedział. - To pobudza krążenie, przecież zmarzłaś.

- Ty też - odpowiedziała, koncentrując całą uwagę na zdejmowaniu rękawic. - Idź pierwszy.

Zdjął kurtkę i powiesił ją na wieszaku przy drzwiach.

- Ja niedawno się kąpałem.

Nawet na nią nie spojrział. Wzruszył tylko ramionami, wyrażając tym gestem całe swoje zakłopotanie.

- Włączę komputer - powiedział, idąc w stronę gabinetu.

Patrzyła za nim, a serce biło jej nieprzytomnie. Wszystko dlatego, że tęsknię za Luckym, pomyślała. Yates wydaje się taki pociągający, bo chciałabym, żeby zamiast niego był tu ze mną tamten.

Zaczęła się znów niepokoić o ojca. Zapadała noc i na zewnątrz szalała burza śnieżna. Gdzie jest? Czy na pewno nic mu się nie stało? Dlaczego jeszcze nie wrócił?

O wpół do szóstej, gdy nakarmiła Frosty'ego i zrobiła mu zastrzyk, przyszedł Mingus. Był cały oblepiony śniegiem, nie chciał nawet wejść do środka. Abbie przeraziła się, widząc go samego.

- Wóz, którym wieźliśmy siano, przewrócił się. Przechylił się i jedną połową wpadł do rzeki, aż się oś złamała. Zwinął się, jak pudło kartonowe, utknął i dalej ani rusz. Twój tata pojechał traktorem do Hurleyów, aby pożyczyć ich wóz.

Abbie zmrużyła oczy pod wpływem silnego wiatru i śniegu, wlatujących przez otwarte drzwi zza pleców Mingusa.

- Do Hurleyów? Kiedy tam wyruszył? - przestraszyła się.

- Jak tylko nadeszła burza. Mam nadzieję, że będzie na tyle rozsądny, by nie próbować wracać, dopóki zamieć nie ucichnie.

Skinęła głową na znak zrozumienia, była jednak zatroskana. Jeżeli Mingus twierdził, że to niebezpieczna burza, to rzeczywiście zanosilo się na najgorsze, bo przecież śnieg był jego żywiołem. Modliła się w duchu, żeby ojciec bezpiecznie dotarł do Hurleyów i zatrzymał się u nich, dopóki pogoda się nie poprawi.

- Cholera - odezwał się znów Mingus. - Oby nie powtórzyła się zamieć sprzed dziesięciu lat. Niestety, na razie na to wygląda. Stracilibyśmy wtedy wiele krów, wierz mi...

- Idź lepiej do domu i ogrzej się - nakazała mu Abbie. - Widać, że strasznie zmarzłeś.

Mingus wyszedł, a ona zamknęła za nim drzwi, trzęsąc się z zimna.

Gdy się odwróciła, Yates stał już na progu. Poczula, że nagle oblewa się rumieńcem. Spojrzała na Yatesa wojowniczo.

- Przestraszyłeś mnie - powiedziała z wyrzutem.

Poprawił krawat, jak zwykle w chwilach zakłopotania. Był znów sobą: czysty, schludny i elegancki, aż trudno było uwierzyć, że niedawno zaprzęgał konia, ścinał drzewo i sprzątał w stajni.

Przyglądał się jej w milczeniu. Odwróciła się, chcąc sobie nalać kawy.

- To był Mingus - poinformowała, nie podnosząc oczu. - Ojciec pojechał do sąsiadów, pożyczyć wóz.

- Kiedy? - zapytał bezbarwnym głosem.

Przyszło jej nagle na myśl, że sam ton głosu Yatesa wywołuje dziwne mrowienie w jej ciele.

- Tuż przed nadejściem burzy - odparła, wpatrując się bezmyślnie w filiżankę.

- Nie martw się, nic mu się nie stanie - uspokajał ją. - Jest rozsądny. Zresztą, taka pogoda to dla niego nie pierwszozna. Nie będzie ryzykował.

Nie odrywała oczu od filiżanki, uświadamiając sobie nagle, że wcale nie ma ochoty na kawę. Zastanawiała się, po co ją właściwie wlała. To przez zdenerwowanie. Tyle emocji naraz!

- Wiem, że jest rozważny - przyznała. - Tylko że... Wiesz, nigdy przedtem nie martwiłam się o ojca, raczej o dziadka. Uważałam, że tata jest tak silny, twardy, że przetrwa wszystko... - Jej głos załamał się, jakby się wstydziła dokończyć zdanie.

Yates podszedł bliżej, żeby sobie dolać kawy.

- Rozumiem. Też tak kiedyś myślałem o swoim ojcu. Nie dostrzegałem, że się starzeje, męczy, traktowałem go tak, jakby był nieśmiertelny.

Spojrzała na niego z wdzięcznością, zdumiona, że Yates ma zakłopotaną twarz, jakby żałował, że otwiera przed nią serce. Uniósł rękę i przez chwilę miała wrażenie, że dotknie jej ramienia w geście pocieszenia.

Widocznie jednak rozmyślił się, bo szybko się wycofał, zabierając filiżankę.

Abbie odetchnęła z ulgą, ale jednocześnie była rozczarowana. Sama nie wiedziała, dlaczego. Potrzebowała miłych słów, ciepłego, przyjacielskiego dotyku. Chociaż, kiedy mimo woli rzeczywiście się dotknęli, to co odczuwała znacznie różniło się od reakcji przyjacielskich. Stąd poczucie winy wobec Lucky'ego.

Jej rozmyślenia przerwał dźwięk telefonu.

- Odbierz - powiedział Yates niemal szorstko. - To może być twój ojciec.

Uśmiechnęła się w przelocie i pobiegła do salonu.

- Abbie?

Odetchnęła z ulgą, słysząc głos ojca.

- Tatusz? Jesteś u Hurleyów? Wszystko w porządku?

- Strasznie zmarzłem, ale poza tym nic mi nie dolega. Czy Mingus wrócił bez kłopotu?

- Tak.

- Posłuchaj. Nawet nie będę próbował wracać do domu w taką zamieć.

- Martwiłam się o ciebie. Mingus też. Nie ruszaj się stamtąd, dopóki pogoda się nie poprawi.

- Ale jak dasz sobie radę ze wszystkim?

- Nie ma obawy - zapewniła, uświadamiając sobie nagle, że zostanie z Yatesem sam na sam. - O nic się nie martw. Aha, dzwonił John. Sandy jest w ciąży, nie wolno jej podróżować, nie przyjadą więc na święta.

- No, cóż... - ojciec starał się nie okazywać rozczarowania. - To przykra wiadomość - dodał opanowanym już tonem.

- Tato...

- Słucham?

- Ja... przykro mi, że rano tak się zezłościłam. Nie chciałam. Zachowałam się jak egoistka, nie myśląc, że może ci być przykro. Przepraszam, tatku.

Przestańmy się już kłócić o Lucky'ego. Przynajmniej w Boże Narodzenie powinniśmy zadbać o dobrą atmosferę.

Przez dłuższą chwilę ojciec nie odpowiadał.

- No, tak - odezwał się wreszcie. - O mnie się nie martw. Nie ma powodu. Czy Connley jest gdzieś w pobliżu? Chciałbym z nim pomówić.

Abbie za wszelką cenę postanowiła dokończyć szczerą rozmowę z ojcem.

- Za chwilę, tato. Muszę cię jeszcze o coś zapytać. Od pewnego czasu leży mi to na sercu, a dzisiaj szczególnie.

- Tak? - wyczuła obawę w jego głosie. Zaczepnęła tchu.

- Przez całe życie pracowałeś na ranchu. Na pewno niełatwo ci było podjąć decyzję o opuszczeniu go?

Frazier długo milczał. Potem usłyszała, że śmieje się, ale był to dziwny, nieszczerzy śmiech.

- Czuję się tak, jakbym nagle przestał walić głową w mur. Z przyjemnością zajmę się czymś innym.

Poczuła ucisk w sercu, ale drażyła dalej:

- Tatusiu, chodzi mi o to, czy w ogóle kiedykolwiek odpowiadało ci takie życie? Czy trzymałeś rancho tylko ze względu na dziadka?

Frazier wymamrotał coś pod nosem.

- Daj mi Connleya - nalegał.

- Najpierw odpowiedz - nie ustępowała Abbie. - Czy przez te wszystkie lata robiłeś coś, na co nie miałeś ochoty? Ze względu na innych?

- Abbie, nie zadawaj takich pytań.

- Ale ja muszę wiedzieć. Proszę, odpowiedz. Wydało jej się, że ojciec zaklął.

- Wszystko mogło ułożyć się inaczej. Zamiast kontynuować studia wybrałem rancho, uszczęśliwiając dziadka i twoją mamę.

- Ale... czy ty sam byłeś szczęśliwy?

- Do diabła, tak - zniecierpliwiał się Frazier. - Przynajmniej przez jakiś czas. Potem ona umarła i odtąd jest inaczej.

- Pod jakim względem?

- Abbie, to taka babska gadanina. Przestaje mi się to podobać. Poproś wreszcie Connleya.

- Przecież jestem kobietą. Mnie odpowiada taka rozmowa - usłyszał. - Pod jakim względem sytuacja się zmieniła po śmierci mamy?

- Psiakrew, nie wiem. Po prostu się zmieniło. Nie było już na ranczu radości. Ale... przestańże wreszcie mnie maglować. Poproś w końcu Connleya. I sprawuj się dobrze, rozumiano?

- Oczywiście.

- Chociaż... właściwie, to sam jestem za tym, żebyś wreszcie porzuciła tego nicponia, kowboja, i zamieniła go na prawdziwego mężczyznę, ale... pilnuj się!

- Tato, obiecaliśmy sobie, że nie będziemy się kłócić o Lucky'ego - przypomniała.

Uwaga ojca o Yatesie wyprowadziła ją z równowagi. Dlaczego uznał, że jakiś okularnik, rzeczoznawca, urzędnik jest prawdziwym mężczyzną w przeciwieństwie do jeźdźca rodeo?

- Odesłałbym cię do Mingusa, ale ten stary bałwan mieszka... sama wiesz, w jakich warunkach. Higiena nie jest jego mocną stroną.

Abbie uśmiechnęła się mimo woli. Najbardziej zaciekle boje, jakie toczył ojciec z parobkiem, wcale nie dotyczyły rancza. Kłócili się o to, że w kuchni Mingusa roi się od karaluchów.

- Nie wysłałbym do niego nawet zwierzęcia - gderał ojciec. - No, może z wyjątkiem twojego nieszczęsnego żrebaka. Mingus przynajmniej uwolniłby go od cierpień... Poproś wreszcie Connleya!

Abbie tym razem bez słowa położyła słuchawkę obok aparatu i wybiegła z salonu. Jej uczucia były zbyt skomplikowane, żeby z łatwością mogła nad

nimi zapanować, dlatego wołała przerwać rozmowę, aby czegoś za dużo nie powiedzieć.

Yates stał przy bufecie i parzył kawę.

- Mój ojciec chce z tobą porozmawiać - zwróciła się do niego.

Poszedł do telefonu, a Abbie została w kuchni, żeby poszukać w lodówce czegoś na kolację. Znając ojca, nie miała wątpliwości, że ostrzega Yatesa, by jej nie dotknął. Młody dżentelmen z pewnością mu to przyrzeknie i dotrzyma obietnicy. Słyszała, jak wielokrotnie powtarza: „Tak, proszę pana”.

Nie powinna czuć żadnego niepokoju, gdy odkładał słuchawkę. Jego twarz wyrażała ni to rozbawienie, ni to smutek. Jednak gdy spojrzał na nią spod okularów, głębia spojrzenia tych ciemnych oczu przyprawiła ją o dreszcze i wcale już nie czuła się bezpiecznie. Nie rozumiem, o co w tym wszystkim chodzi, pomyślała w popłochu. Dlaczego przy nim tak dziwnie się czuję? Ale starała się zagłuszyć lęk. Jedyne, co istniało między nią a tym mężczyzną, to była osobliwa przyjaźń, nic więcej. Wszystko inne z góry wykluczała.

Do diabła, przecież wcale nie chciał, żeby patrzyła na niego jak kobieta na mężczyznę. Mieli być wobec siebie neutralni, a już najbardziej trzeba było wystrzegać się wzajemnej atrakcyjności seksualnej. Udawał, jak długo mógł, aż zaczęło go to męczyć. Ona zdawała się go akceptować jako istotę niemal bezpieczną. Tak było bezpieczniej.

I nagle zauważył, że Abbie traktuje go jak swoją najbliższą przyjaciółkę. Rozprawiała przy nim o uczuciach, więcej niż jakakolwiek znana mu kobieta, a przy tym jej szczerość i otwartość niepokoiły go, czuł się wręcz urażony. Dotychczas zawsze starał się tłumić w sobie uczucia, a ona bezpardonowo zdierała tę maskę. Nie chce rozmawiać w ten sposób, myślał rozdrażniony. Zamiast paplać, rozprawiać o uczuciach, chciałbym ją całować do utraty tchu...

Zdawał sobie sprawę, że nie wolno mu tak myśleć, ba, nie powinien nawet patrzeć na nią jak mężczyzna na kobietę. Była zaledwie częścią sprawy,

którą miał rozwikłać, to wszystko. Zresztą i tak przyrzekł ojcu, że będzie jej strzegł. Tym bardziej musi opanować pożądanie.

Zjedli kolację i Abbie przygotowała na deser koktajl wiśniowy. Świetnie gotowała, co tylko pogarszało sytuację. Usiadła po drugiej stronie stołu, opowiadając o ojcu.

Gdy zaczął wspominać przed kilkoma laty, że nosi się z zamiarem sprzedaży rancza, nie wierzyła mu. Oczywiście nigdy nie mówił o tym w obecności dziadka. Przyrzekł, że będą mieszkali na ranczu dopóki żyje dziadek.

Widząc jej strapioną twarz, Yates uznał, że pora zmienić temat.

- Czy to wtedy poznałaś swego narzeczonego? - zapytał.

Natychmiast się ożywiła.

- Tak - przyznała. - Ale ty nigdy nie opowiadasz o sobie. Czyżbyś nie miał nikogo bliskiego?

- Nie, nie mam.

Spojrzała na niego tak rozbijając, że pożałował swego szorstkiego tonu.

- Więc kiedy umarł twój dziadek - zagadnął cieplejszym głosem - ojciec wrócił do tematu i tym razem zamierza zrealizować swój zamiar.

Potrząsnęła głową w zamyśleniu.

- Z początku nie wierzyłam. Ale Zarząd Farmerów zaczyna wykupować rancza w tej okolicy. Trzeba sprzedać tę ziemię, korzystając z okazji.

Yates skinął ze zrozumieniem głową.

- Byłam zbyt roztrzęsiona po śmierci dziadka. Nie myślałam o ojcu.

Chyba dopiero dzisiaj dotarło to do mnie, gdy zobaczyłam go przemoczonego i zziębniętego, z zakrwawionymi rękoma, a potem jeszcze zadzwonił John...

Poczuł ucisk w gardle, miał ochotę znów rozluźnić krawat.

- Ojca trudno zrozumieć - ciągnęła Abbie. - Jest, zamknięty w sobie, chłopcy tak samo. Tylko Lucky różni się od nich tym, że mówi o uczuciach. Łatwo się z nim rozmawia. Tak samo, jak z tobą.

W tej chwili Yates nienawidził Lucky'ego, a nawet siebie samego. Tym niemniej uśmiechnął się.

- Z drugiej strony jesteś dość tajemniczy - powiedziała Abbie.

Ta uwaga zbiła go z tropu. Wrażenie tajemniczości to ostatnia rzecz, na którą mógł sobie wobec niej pozwolić.

- Wolisz słuchać, niż mówić. Pod pewnymi względami nie rozumiem cię. Intryguje mnie twój wygląd Włocha. Nazwisko masz przecież amerykańskie.

Należało wyjaśnić tę kwestię.

- Moja matka była Włoszką a ojciec Irlandczykiem z domieszką włoskiej krwi.

Dolała mu kawy.

- Wspomniałeś, że straciłeś matkę i zamieszkałeś u dziadków. Pewnie mocno to przeżyłeś.

Do tej pory nie odpowiadał wprost na jej pytania. Wreszcie jednak musiał powiedzieć coś konkretnego.

- Moja matka nigdy nie była całkowicie zdrowa. Odkąd tylko pamiętam, zawsze jej coś dolegało. Zanim skończyłem dziewięć lat, więcej ja się nią opiekowałem niż ona mną.

- Tak mi przykro - szepnęła Abbie wzruszona.

- Nie ma powodu. Kiedy umarła, wysłano mnie do dziadków. Tam było mi lepiej.

- A ojciec? Dlaczego on się tobą nie zajął? Może zadaję za dużo pytań? - zreflektowała się. - Ale nic o tobie nie wiem. Nie zamierzam być wścibska. Mam nadzieję, że cię nie uraziłam?

Odłożył widelec i spojrzał jej prosto w oczy. Była taka poważna, pełna współczucia, aż poczuł niebezpieczną potrzebę zwierzeń.

- Nie czuję się dotknięty. Przeciwnie, twoje zainteresowanie schlebia mi...

Najdziwniejsze było, że faktycznie podniosło go to na duchu. Nie rozumiał, dlaczego tak się stało. Nigdy nie nawiązywał do przeszłości, ale zdał

sobie sprawę, że właściwie chętnie jej opowiada o sobie. Może wynikało to z faktu, że jedynie co do przeszłości mógł być z Abbie szczery?

Mimo wszystko jednak niełatwo mu było mówić.

- Ojciec nie wychowywał mnie. Był funkcjonariuszem policji, pracował w nietypowych, bardzo różnych godzinach. Zajmowała się mną głównie jego gospodyni. Widocznie uznał, że dziadkowie bardziej się nadają do wychowywania dziecka.

- Musiało ci być źle bez matki.

Z coraz większym wysiłkiem panował nad zbierającymi uczuciami. Próbował przybrać neutralny wyraz twarzy.

- Nie pamiętam jej dobrze. Zachorowała w rok po moim urodzeniu. Po jej śmierci, kiedy ojciec wyjeżdżał, dom wydawał się zawsze taki pusty...

- Och, Yates, tak mi przykro.

- Nie ma powodu. W sumie ojciec dobrze zrobił, wysyłając mnie do dziadków, dobrych ludzi. Bardzo miło wspominał tamten okres. Mieszkałem u nich dopóki mój ojciec nie ożenił się powtórnie. Macocha była całkiem przyzwoitą kobietą. Prowadziła sklep, w którym sprzedawała znaczki i monety. Pomagałem jej po szkole. Nie działa mi się krzywda...

Zauważył, że Abbie spoglądała na niego z coraz większym współczuciem. Boże, czy na Lucky'ego również patrzyła w ten sposób? To łobuz, jak można okłamywać i wykorzystywać taką dziewczynę?! Czyż ten głupiec naprawdę nie widzi, jaki ma skarb?

- Nie rozumiem, jak możesz o tym mówić tak spokojnie - powiedziała z podziwem. - Nie zawsze zgadzałam się z ojcem i braćmi, ale nie wyobrażam sobie życia bez nich. A ty, zgadzałeś się ze swoim ojcem?

- Tak - słowa więzły mu w gardle. - Uwielbiałem go. Moi dziadkowie go idealizowali. Był jedynakiem.

- Był? To znaczy, że umarł?

- Nie żyje od ośmiu lat. Zmarł, kiedy kończyłem szkołę. Macocha powtórnie wyszła za mąż i mieszka na Bermudach.

- A dziadkowie na ranczu - powiedziała, próbując połączyć w całość jego opowieść. - Co z nimi?

- Babcia umarła kilka miesięcy po moim ojcu. Sądzę, że zabiła ją strata syna. - Ze wzruszeniem uświadomił sobie, że po raz pierwszy zwierza się komuś ze spraw rodzinnych.

- A dziadek?

- Też nie żyje od ponad dwóch lat.

- Więc jesteś zupełnie sam?

- Nie przeszkadza mi to.

Rzeczywiście był samotnikiem już w dzieciństwie. Przyzwyczyił się do tego.

- A co się stało z ranczem? Yates roześmiał się gorzko.

- Dziadek zostawił mi farmę, w końcu jednak sprzedałem ją.

- Sprzedałeś? I nie czułeś się tak, jakbyś stracił część siebie?

Wzruszył ramionami. Nie mógł sobie pozwolić na rozczulanie się nad tak błahą sprawą.

- Przeszłość, to przeszłość - stwierdził lakonicznie.

Abbie posmutniała, słysząc te słowa.

- Przeszłość, to przeszłość - powtórzyła za nim.

- Cóż, mamy jeszcze przed sobą przynajmniej święta na ranczu. Mam nadzieję, że później uda nam się zachować pewne tradycje. Jedną z nich są, jak je nazwał dziadek, trzy wielkie zadania na Boże Narodzenie. Pierwszym jest ścinanie choinki. Robiłam to zawsze z dziadkiem i Johnem. Drugie należało do mnie i Prestona, polegało na dekorowaniu domu i stajni.

- Stajni? - zdziwił się Yates.

- Ten zwyczaj zainicjowała moja mama wiele lat temu. Wiłyśmy świerkowy wieniec do każdej przegrody. Przecież, jak mówiła, Boże Narodzenie zaczęło świętować w stajence.

Uśmiechnął się mimo woli.

- A trzecie ważne zadanie?

Samo wspomnienie wywołało uśmiech na jej twarzy.

- Pakowanie prezentów. Robimy to z wielką starannością. To jakby konkurs. Zwycięza ten, kto to zrobi w najzabawniejszy, najciekawszy sposób. Najpierw kolorowy papier, żeby nie było widać, co jest w środku, a potem, pojęcia nie masz, ile śmiesznie wiązanych kokardek, wstążeczek, ozdób.

Wyglądała na bardzo szczęśliwą na samą myśl o świętach. Do tego czasu powinien się uporać ze swoim zadaniem. Miał jeszcze cały tydzień. Przed Bożym Narodzeniem Abbie pozna prawdę o Luckym i przestanie się już śmiać. Jednocześnie dowie się, kim naprawdę jest Yates. Usiłował odrzucać tę myśl, przybierając obojętny wyraz twarzy.

- Kto wygrywa ten konkurs? - zapytał.

- Adon. Co roku. Nikt nie jest w stanie go prześcignąć. Któregoś roku...

Przerwał jej dźwięk telefonu. Connley zacisnął zęby. Miał nadzieję, że to nie Gibbs. Kiedy zaczynał działać, jedynym jego pragnieniem było zdobycie dowodów przeciw podejrzanemu, które pozwolą aresztować go. Teraz chętnie wymierzyłby mu kilka siarczystych policzków, żeby oszpecić tę ładną, kłamliwą twarz.

- Przepraszam - Abbie wstała z entuzjazmem, odkładając serwetkę obok talerza.

Odetchnął z ulgą, gdy poszła do pokoju. Rozejrzył się. Kuchnia wyglądała przytulnie. Pamiętał podobne pomieszczenie w domu swojej babki. Na Boże Narodzenie wydostawały się z niej nęcące zapachy.

Babka kochała go tak bardzo, że aż czuł się tym onieśmielony. Nie umiał odwzajemnić tego ogromu uczuć, w końcu przybrał nawet maskę cynizmu. Nie

pocałował jej, gdy ojciec zabierał go do siebie i macochy. Nie powiedział też dziadkom, że za nimi tęsknił. Był na to za twardy. Odkąd tylko pamiętał, nie umiał wyrażać swoich uczuć. No i co z tego, pomyślał z pogardą.

Dlaczego wyrzucał sobie to, że zrani jakąś niebieskooką dziewczynę? Sama sobie winna, nie musiała zakochać się w takim Luckym! On sam też nie kieruje się współczuciem, lecz pożądaniem. Nie pozwoli, aby poruszała jego serce, pociąga go tylko fizycznie. Będzie nadal cynikiem, o to nie ma obawy.

Gdy tak rozmyślał, zastanawiał się jednocześnie, dlaczego głos Abbie, dochodzący z salonu obok, jest tak przejmująco smutny. Poprawił aparat słuchowy, ale i tak nie rozróżniał poszczególnych słów.

Kierując się ciekawością, poszedł do salonu. Stał obok, przyglądając się jej uważnie.

- Rozumiem, oczywiście - wyraźnie siliła się na pogodny ton, ale w jej oczach połyskiwały łzy. - Wesołych świąt. Jasne, Kocham was. Wiem, że u nas w rodzinie nie mówi się takich rzeczy. Właśnie dlatego to powiedziałam. Na przekór. Cześć, Preston. Pozdrów Marcie i powiedz jej, że jest mi przykro.

Odłożyła słuchawkę, nie spojrzała na niego. Usiłowała powstrzymać płacz. Yates poczuł ucisk w gardle.

- Co się stało?

- Dzwonił mój brat, Preston. Nie przyjadą na święta. Jego teściowa poddaje się operacji, więc muszą być przy niej.

- Nie mają wyboru - powiedział Yates, widząc, jak usta Abbie wykrzywia płaczliwy grymas.

- Wiem - przyznała. - Nie mogą postąpić inaczej. Miejsce Marcie jest przy matce, a Preston nie może opuścić żony w takiej chwili.

- Tylko, że ty będziesz za nim tęskniła.

- Na pewno. Zawsze spędzaliśmy święta razem. Cóż, nadrobimy to za rok.

- Jasne.

- Chodzi o to, że to ostatnie Boże Narodzenie w tym domu...

- Wiem.

- I pierwsze bez dziadka. I bez Johna. A teraz jeszcze Preston... - ciągnęła coraz bardziej drżącym głosem.

Nie mógł już dłużej nad sobą panować. Musiał wziąć ją w ramiona. Miał wrażenie, że serce podchodzi mu do gardła. Oddychał z trudnością, krew pulsowała w skroniach, zmysły płonęły...

Położył rękę na jej ramieniu i przyciągnął ją do siebie, niemal wbrew własnej woli. Drugą ręką oplótł jej talię, tuląc dziewczynę do siebie nieprzytomnie, a jednak delikatnie, z wahaniem, jakby się bał, że zrobi jej krzywdę.

Zarzuciła mu ręce na szyję i przytuliła się do szerokiej piersi. Coś w nim zamarło, tak bardzo jej pragnął. Z wolna zaczął pochylać głowę, zbliżając się do ust. Pal sześć konsekwencje, przemknęło mu przez głowę. Nie powstrzyma się, po prostu nie jest w stanie.

Ostudziły go dopiero słowa Abbie.

- Gdyby tylko Lucky mógł przyjechać - powiedziała załamującym się głosem.

Poczuł lód w sercu. Uniósł głowę i bezmyślnie zaczął przypatrywać się choince. Nie miał już ochoty jej przytulić. Trzymał ją w ramionach, a ona tęskniła za innym. Za mężczyzną, którego postanowił zniszczyć, na którym chciał się zemścić, aby sprawiedliwości stało się zadość.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Abbie z trudem powstrzymywała się od płaczu. Wtuliła twarz w koszulę Yatesa, uczepliła się kurczowo jego ramion i zamknęła oczy, próbując nad sobą zapanować.

Powinna szukać ukojenia w objęciach Lucky'ego, ale był daleko, skoro więc Yates, wprawdzie powściągliwie, ale jednak chciał ją pocieszyć, dlaczego miała to odrzucić? Przytuliła się do niego i stali nieruchomo, nie odzywając się do siebie. Trzymał ją sztywno, skrepowany, jakby sprawiało mu to przykrość.

Nie mogła oderwać się od niego, bo chociaż w tym uścisku brakowało namiętności i nie szeptał jej, jak Lucky, słodkich słówek, to przecież emanował czymś szalenie pociągającym. Uważała, że jest o wiele za wysoki, zwykle źle się czuła w obecności potężnych mężczyzn, ale Yates raczej imponował siłą, niż przerażał, dawał większe niż Lucky poczucie bezpieczeństwa.

Nagle ocknęła się zawstydzona własnymi myślami, bo przecież samo porównywanie Yatesa z Luckym dowodziło braku lojalności wobec narzeczonego, a szukanie oparcia w ramionach innego mężczyzny było zdradą, słabością, którą powinna zwalczać.

- Przepraszam - powiedziała wyraźnie zakłopotana, unikając jego wzroku.

- Nic się nie stało - odrzekł równie zażenowany.

- Fatalnie się składa, ale na szczęście przyjedzie przecież Adon z synami.

Moi bratankowie są tacy zabawni. W zasadzie święta obchodzi się głównie ze względu na dzieci, prawda?

- Chyba tak.

Odwróciła się, chcąc iść do kuchni, Yates stanął jednak w drzwiach, zagradzając jej drogę. Oczy za szklami wydawały się bardzo poważne, zatroskane.

- Co chcesz zrobić?

- Pozmywam i nakarmię źrebaka. Potem przygotuję ozdoby choinkowe. Skoro Preston nie przyjeżdża, sama udekoruję dom.

- Abbie, jest już prawie dziewiąta. Pomogę ci przy Frostym, a potem odpoczniesz.

- Nie chcę odpoczywać. Muszę się czymś zająć, czymkolwiek.

Wyciągnął ku niej rękę, ale szybko ją wycofał.

- Posłuchaj. Niedawno zemdlałaś. Nie możesz się przepracowywać.

- Czuję się dobrze - rzuciła szorstko, próbując przemknąć obok niego. - I dam sobie radę z Frostym. Poza tym chcę być sama.

Dlaczego jest taki troskliwy? Czemu tak bardzo ją to porusza? - myślała.

Zaczęła zmywać naczynia. Gdy skończyła, w gabinecie paliło się jeszcze światło. Uszanował jej życzenie, więc sama nakarmiła Frosty'ego. Potem wyszła przed ganek rzucić coś do jedzenia Oogly'emu, płochliwemu kundlowi. Gdy wróciła do holu i spuściła drabinę, prowadzącą na strych, Yates nagle znalazł się przy niej, gotowy pomóc.

Przyjrzała mu się podejrzliwie. Był wciąż nienagannie ubrany, ale na twarzy pojawił się zarost. Miał gęstsza brodę niż Lucky.

Nagle wyobraziła sobie, jakby przyjemnie drapał i łaskotał, gdyby miała odwagę przytulić się do niego. Co za głupie myśli, zganiała się w duchu ze złością. Odwróciła się i zaczęła wchodzić po drabinie.

- Nie sądzisz chyba, że uda ci się samej ściągnąć pudła - powiedział z ironią.

- Dam sobie radę - odrzekła z uporem, nie oglądając się.

- Twój ojciec prosił, żebym cię strzegł.

- Nie potrzebuję niczyjej opieki - rzuciła już z ostatniego stopnia drabiny.

Ale pudełka były większe, niż jej się wydawało. Dotychczas zdejmował je zawsze Preston. W ubiegłym roku, przypomniała sobie z żalem, prosiła o pomoc Lucky'ego, ale i tak przygotowała ozdoby z Prestonem i bratową, bo chłopak się wykrecił, twierdząc, iż kilka dni wcześniej, w Houston, nadwerężył sobie

kręgosłup. Przesiedział wtedy cały wieczór w gabinecie, rozmawiając z dziadkiem. Brat robił jej potem kąśliwe uwagi, że za każdym razem, gdy trzeba wykonać jakąś pracę, Lucky zasłania się bólem kręgosłupa, rąk albo wymyśla jakikolwiek inny powód, byle tylko móc poleniuchować.

Do licha! - besztła samą siebie. Znów ta nielojalność. Przecież on na to nic nie poradzi, że ma niebezpieczny zawód i często ulega kontuzjom. Poza tym odpoczywał tylko u nich na ranchu. Dziadek tak lubił z nim rozmawiać!

Zamyślona próbowała popchnąć stos pudeł w stronę zejścia do holu. Ponieważ na strychu było pełno kurzu, zaczęła kichać. Yates, nie proszony przez nikogo, wszedł na górę. Schylił głowę, aby się nie uderzyć o belki, po czym z łatwością przeniósł pudła i ustawił je przy drzwiach.

- Nie rób tego! - sprzeciwiała się jeszcze. - Zakurzysz się cały.

- A ty spadniesz i złamiesz sobie kark - odciął się.

- Przecież nie musisz...

- Nie sprzeczasz się - powiedział tak stanowczo, że przestała się odzywać.

Ostrożnie zniósł wszystkie paczki na dół. Abbie zdała sobie sprawę, że sama nie dałaby rady. Yates pobrudził sobie spodnie i koszulę, we włosach miał pajęczynę. W ostatniej chwili powstrzymała odruch, by ją zdjąć.

Wdzięczna mu za dźwiganie pudeł, uznała za bezsensowne odrzucanie pomocy w przystrajaniu domu, chociaż z początku delikatnie próbowała oponować.

- Późno już - zauważyła.

- Nie jestem zmęczony.

- Więc idź popracować przy komputerze.

- Dość mam tego piekielnego urzędnika!

- Dobrze - westchnęła zrezygnowana. - Najpierw trzeba powiesić na ścianach te girlandy, na samej górze. Tam są już powbijane gwoźdźdiki.

Otworzyła paczkę z mnóstwem zielonych girland z ostrokrzewu. Miały zielone listki i jaskrawoczerwone jagody.

- Skąd je masz? Wystarczyłoby ich na udekorowanie połowy Nebraski.

- To moja mama... Był kiedyś sklep w Bison City. Kiedy zwijali interes, wyprzedawali wszystko, nawet ozdoby choinkowe. Przywiozła wtedy do domu pół sklepu. Nie masz pojęcia, jak się cieszyła.

- Wykupiła pół sklepu? - zaśmiał się Yates.

- No, powiedzmy, że znaczną część.

Stanęli na krzesłach i zawieszali gałązki. Yates wciąż ją upominał, żeby uważała, ona zaś uparcie powtarzała, że niepotrzebnie się przejmuje. Z coraz większym zdziwieniem dostrzegała, jak dobrze się czuje w jego towarzystwie.

Przerwali dekorowanie przed północą, by nakarmić Frosty'ego. Tym razem już nie protestowała, gdy pomagał. Był energiczny i wszystko potrafił zrobić. Musiała w końcu przyznać, że jest nieoceniony.

Zawiesili wianki i lampki w oknach, zbudowali nawet małą szopkę. Abbie wyjęła figurki, zgromadzone przez jej matkę, gdy była małą dziewczynką. Strzegła ich teraz, jak największego skarbu.

- Popatrz na tego pastuszka, jaki jest zniszczony - powiedziała, pokazując mu drewnianą figurkę.

- John brał go do buzi i gryzł, gdy wychodziły mu ząbki. A tamten aniołek? Preston miał owczarka, szczeniaka, który gryzł aniołka, aż pozbawił go skrzydeł. Teraz to już taki... ziemski anioł.

- Anioł na ziemi? - podjął Yates, spoglądając to na figurkę, to na dziewczynę.

Coś w tym spojrzeniu zmieszało ją i zaniepokoiło.

- Wielbładowi musieliśmy doklejać nogi, bo John rąbnął nim Adona w głowę - kontynuowała po chwili.

- Nieźle bawiliście się w święta.

- Tatuś mówił, że Boże Narodzenie wszystkim kojarzy się z trzema królami, mędrcami, ale jemu raczej z trzema łobuziakami.

- I z ziemskim aniołkiem? - roześmiał się Yates.

- Tata nigdy tak mnie nie nazywał, wręcz przeciwnie. Często wdawałam się w bójki z braćmi.

- Nie wątpię - uśmiechnął się..

Wpatrywał się w nią tak dziwnie, że Abbie odwróciła głowę.

- Słuchaj, pozostało już tylko ubranie choinki. Może byś poszedł spać?

- Nie jestem zmęczony.

- To popracuj jeszcze przy komputerze. Sama dam sobie radę.

- Mówiłem ci już, że ten zakichany komputer doprowadza mnie do szału.

Poza tym, zostało jeszcze jedno pudło wianków.

- One są przeznaczone do stajni. Dzisiaj już nie zdążymy ich zawiesić.

Przez chwilę nie odzywali się do siebie, nasłuchując tylko hulającego na zewnątrz wiatru. Abbie postawiła na swoje miejsce w szopce figurki świętego Józefa i Marii, poustawiała baranki. Czowała na sobie spojrzenie Yatesa.

- Jednego nie mogę zrozumieć - zaczęła nieśmiało. - Często powtarzasz, że nie znosisz pracy przy komputerze, więc dlaczego się tym zajmujesz?

Długo nie odpowiadał na jej pytanie, zastanawiała się nawet, czy się przypadkiem nie obraził. Ale, gdy spojrzała mu w twarz, dostrzegła w niej tylko zatroskanie.

- Powiedzmy, że muszę to robić, przynajmniej na razie - odezwał się wreszcie.

- Na razie? To znaczy, że w przyszłości zmienisz pracę?

- Mam taki zamiar - odparł znów po długiej chwili milczenia.

- Czym się chcesz zajmować? - zapytała, zastanawiając się jednocześnie, dlaczego ociąga się z udzielaniem odpowiedzi.

- Założę firmę, instalującą systemy alarmowe.

- Alarmy? - zdziwiła się. - Skąd taki pomysł, przecież to nie ma nic wspólnego z monetami.

- Po prostu trochę się tym interesuję.

- Naprawdę sądzisz, że ci się to spodoba?

- To chyba niezła inwestycja. Będę miał więcej swobody i wolnego czasu.
- I co zamierzasz wtedy robić?
- Sam nie wiem. Pogram w golfa, będę uprawiał jogging...
- Mimo wszystko nie bardzo to rozumiem. Nie widzę związku między alarmami przeciwwłamaniowymi a monetami.

Przez dłuższą chwilę milczał, spoglądając na nią z poważnym, niemal ponurym wyrazem twarzy.

- Posłuchaj - zaczął wreszcie, ale szybko przerwał, jakby szukał właściwych słów. - Opowiem ci pewną historię. Widzisz, handel monetami to dość dziwny proceder.

- Chyba masz rację. Nigdy się nad tym nie zastanawiałam.

- Rynek monet przeżywa wzloty i upadki. Teraz akurat jest kryzys. Ceny spadają - wyjaśnił.

- Interesy źle idą? Czy dlatego chcesz się wycofać?

- Niezupełnie. Dziesięć lat temu ceny były wysokie, handlarze nieźle zarabiali, ale potem sytuacja uległa zmianie. Teraz jest za dużo handlarzy, a niewiele klientów - ciągnął z poważnym wyrazem twarzy.

Zastanawiała się, dlaczego tak ostrożnie dobiera słowa.

- Przed kilkoma laty dokonano serii włamań do sklepów numizmatycznych w całym kraju. Jak się okazało, nie były to prawdziwe włamania. Tak naprawdę chodziło o ściągnięcie pieniędzy z firm ubezpieczeniowych. Zamiast zbankrutować, pewni ludzie zarobili kupę pieniędzy.

- Okradali sami siebie? - zapytała naiwnie.

- Nie. Wynajmowali kogoś. W Omaha działał pewien człowiek o nazwisku Claridge. Pamiętasz to nazwisko?

- Jak przez mgłę.

- Claridge i jego wspólnik, Robbins, organizowali takie napady. Prowadzili podwójny interes: zarabiali forszę na firmach ubezpieczeniowych i zatrzymywali kradziony towar, którym handlowali na czarnym rynku.

- Sprzedawali monety?

- Potajemnie. Niektóre z nich były niezwykle cenne, warte dziesiątki tysięcy dolarów. Nie mogli ich upłynnić legalnie, tym bardziej że sprawa kradzieży została rozdmuchana przez mass media. Claridge załatwiał to prywatnie, powołując się na pewne źródła i sprzedając towar po atrakcyjnej cenie.

- Czy ludzie wiedzieli, że kupują kradzione rzeczy?

- Niektórzy wiedzieli, ale nie przeszkadzało im to. Claridge oferował cenne eksponaty po korzystnej cenie i tylko to się dla nich liczyło.

- Chyba przypominam sobie tę aferę. - Abbie pogładziła palcem figurkę aniołka. - Zdaje się, że była w nią zamieszana także FBI?

- Najpierw firmy ubezpieczeniowe, a potem FBI. Claridge nie mógł wiecznie działać w ukryciu. Jeśli chodzi o monety, przede wszystkim istnieje rozbudowana sieć komputerowa. Kiedy pojawiają się cenne skradzione monety, ludzie je rozpoznają i wieść szybko się roznosi.

Abbie nie przestawała się bawić aniołkiem, gładząc palcem wyblakłe miejsce. Była zdenerwowana. Nie wiedziała, skąd ten niepokój i dlaczego Yates opowiada to wszystko z takim zaangażowaniem. Jak przez mgłę przypominała sobie szczegóły tej głośnej niegdyś sprawy.

- Ten Claridge, to jakiś niezwykły facet, prawda? Czy opracował specjalny system działania? - dopytywała się.

- Właśnie. Był potężnie zbudowany, ważył bez mała sto czterdzieści kilogramów. Po jakichś dwóch latach włamań obaj z Robbinsem ulegli wypadkowi samochodowemu. Jego kumpel zginął, a Claridge stracił nogę. Jednonogi facet o takiej posturze nie mógł niepostrzeżenie się przemieszczać. Włamania ustały, ale nadal sprzedawał skradzione rzeczy, otrzymywane z innych źródeł.

- Miał wspólników? - domyśliła się. Yates skinął głową.

- Gazety nazywały aferę „skokiem stewardes”. Dwie stewardesy pracowały dla Claridge'a. Sprzedawały monety, oddając mu gotówkę. Zawsze gotówkę, bo nie chciał zostawiać śladów.

- Pamiętam. I jego człowiek został zastrzelony. Tak samo zresztą, jak funkcjonariusz z FBI. Ktoś jeszcze został ranny, zgadza się?

Yates wykrzywił usta w dziwnym grymasie.

- Tak, jednego postrzelił Claridge, a drugi, tajniak z Nebraski, został ranny. Claridge zginął. Nikt nie przypuszczał, że będzie wszczynał walkę.

Abbie wciąż bawiła się aniołkiem.

- Powiedział, że woli zginąć, niż tkwić w kiciu. Był z nim jeszcze jeden, ale zwiął.

- Tak, ten drugi zwiął - przyznał Yates.

- Oglądałam zdjęcia stewardes. Było mi ich żal. Takie młode i ładne, szkoda, że zmarnowały sobie życie.

- Pełniły rolę jego kurierów. Świetnie się do tego nadawały: podróżowały z miasta do miasta, nie wzbudzając żadnych podejrzeń. Był jeszcze jeden kurier, którego władzom nigdy nie udało się ująć, szczególnie niebezpieczny. Niemal zakatował pewnego klienta, tylko dlatego, że targował się o cenę. Nazywano go „Tyranem”. Claridge posługiwał się nim w szczególnych przypadkach, gdy trzeba było użyć przemocy. Z pewnością towarzyszył Claridge'owi tej nocy, kiedy go ujęto. Brał udział w strzelaninie.

Abbie ustawiła przed szopką baranka. Zastanawiało ją, dlaczego Yates to jej opowiada, ociągając się, ale jednocześnie z jakąś dziwną pasją.

- W jaki sposób udało mu się zwiąć? - zapytała.

- Jedyne policjant, który go widział, został zastrzelony przez Claridge'a. „Tyran” uderzył od tyłu innego, po czym uciekł. Panował straszny chaos, dwaj funkcjonariusze i Claridge leżeli martwi.

- To okropne. A klient, którego pobił, może on by go rozpoznał?

- To niemożliwe, „Tyran” zastraszył go.

- A stewardesy?

- Wiedziały tylko, że ktoś taki istnieje, nawet nie znały jego imienia.

Abbie przyklęła, sprawdzając w pudełkach, czy coś nie zostało.

- Mam nadzieję, że jednak uda się go znaleźć - szepnęła, szeleszcząc papierami.

- Z pewnością - odparł Yates po chwili milczenia.

- Ale co ty możesz mieć wspólnego z tą historią? Czy ktoś próbował ci przekazać skradzione monety? - zapytała nagle.

Ich spojrzenia spotkały się. Yates poprawił aparat słuchowy.

Nagle wstrząsnął ją dziwny dreszcz. Miała wrażenie, że Yates opowiada jej to wszystko po to, żeby rozszyfrowała jakąś zagadkę. O co mu chodziło? Okropna myśl przemknęła jej przez głowę.

- Och, nie! Chyba nie sądzisz, że mój dziadek handlował kradzionymi monetami? Jeżeli nawet tak było, to czysty przypadek. On był nadzwyczaj uczciwy!

- Nie, Abbie, uspokój się. Wierzę ci. Gdybyśmy jednak znaleźli coś, co trafiło do kolekcji przez przypadek, trzeba by to zwrócić.

Odetchnęła z ulgą.

- Oczywiście. Sama bym ci to zaproponowała. To jedyne uczciwe wyjście. Zastanawiam się jednak, dlaczego opowiedziałeś mi tę historię...

- Chciałem, abyś sobie uświadomiła, że monety i alarmy przeciwwłamaniowe tylko pozornie nie mają ze sobą nic wspólnego. Gdyby tamte sklepy miały odpowiednie zabezpieczenie, śmiałe plany Claridge'a spaliłyby na panewce. Obecnie firmy ubezpieczeniowe wymagają systemów alarmowych. To dobry interes.

Yates wstał i podszedł do drzwi werandy. Wpatrywał się w zamrażnięte okna. Abbie przyglądała mu się, nie wiedząc, co o tym wszystkim sądzić. Jego wyjaśnienie było wiarygodne, odczuwała jednak jakieś ogromne napięcie, chociaż nie wiedziała, skąd się ono bierze.

- Powinnaś się trochę przespać, Abbie. Ja nakarmię żrebaka.
- Nie. To ty idź spać.
- Popracuję jeszcze przy komputerze.
- Przecież i tak nie możesz odtworzyć danych z dyskietki - przypomniała.
- Trzeba będzie obejrzeć dokładnie całą kolekcję. Liczę na twoją dobrą pamięć - powiedział.

- Idź pracować. Dobranoc i dzięki za pomoc - szepnęła, a serce z nie wyjaśnionych powodów biło jej przyśpieszonym rytmem.

Yates stał bez ruchu, nie odpowiadając.

- Dobranoc - powtórzyła.

Skinął głową, ale milczał uparcie. Musiała wyminąć go, chcąc dojść do tymczasowego posłania na werandzie. Ruszyła wreszcie, ze spuszczoną głową, unikając jego wzroku. Zaskoczył ją, niemal wystraszył, chwytając nagle jej rękę powyżej nadgarstka.

- O co chodzi? - zapytała z przerażeniem w oczach.

Pochylił się niżej, patrząc jej prosto w oczy.

- Abbie, co byś zrobiła, gdyby Lucky wypadł z gry? Gdyby, na przykład, znalazł sobie inną?

Zadrżała pod wpływem jego dotyku.

- To niemożliwe - powiedziała załamującym się głosem. - Kocham go i on też mnie kocha.

- W życiu nie zawsze układa się tak, jak byśmy chcieli - powiedział ponuro.

- Nas to nie dotyczy. Kochamy się przecież. Pochylił się jeszcze niżej.

- Rozumiem. Ale to tylko teoretyczne pytanie. Co by się stało, gdyby...

- Tu nie ma żadnego gdybania - powiedziała z naciskiem, zastanawiając się jednocześnie, dlaczego jej głos brzmi tak desperacko. - Kocham go z wzajemnością. Tylko to się liczy.

Zacisnął mocniej palce wokół jej nadgarstka.

- Abbie. Jeśli... jeśli... - nachylił się ku jej twarzy. - Mój Boże - powiedział urywanym głosem - przecież cały świat to wielka niewiadoma... - Nie dokończył zdania, bo nie mogąc się dłużej powstrzymać, pocałował ją.

Nie była w stanie uwolnić się od niego. Przeciwnie, niemal wbrew własnej woli uniosła ku niemu twarz.

Całował z dzikim zapamiętaniem, aż zamknęła oczy, bo przyprawiał ją o zawrót głowy. Wargi miał ciepłe, upajające. Nie, nie, przemknęło jej przez głowę, ale jednocześnie gdzieś z dna serca słyszała: tak, tak... Rzeczywistość przestała istnieć, zamieć śnieżna wciąż jeszcze szalała wokół domu. Abbie nic już jednak nie słyszała. Przez okna werandy przedostawało się do wnętrza zimno, ale oni nie czuli tego, zapominając o całym świecie. Pocałunki Yatesa przeniosły dziewczynę w inne czarowne miejsce, pełne ciepła i upajającej bliskości.

Obejmując ją mocno w talii, całował coraz żarliwiej, głębiej, subtelnymi pieściami pociągając ją w nicość. Był zapalczywy i delikatny, namiętny i subtelny. Ogarnęła ją fala dziwnego niepokoju, który po chwili przerodził się w obietnicę spokoju i spełnienia. Objął ją mocniej i przytulił. Czuł jej piersi. Jej ręce, oplatające jego ciało, parzyły go. Serce Abbie dziwnie, niemiarkowo drżało. Miód i ogień, pomyślała zaskoczona, te pocałunki są jak miód i ogień. Wspięła się na palcach, aby jeszcze żarliwiej pieścił ją wargami. Poruszyła się lekko, a jednak rozpałała jego zmysły do ostatnich granic. Czuła, jak bardzo jej pożąda i ogarnęło ją wzruszenie.

Przestał ją całować i przycisnął policzek do jej włosów. Stali ciasno objęci, wtuleni w siebie, niczym w transie. Z wolna budziła się jednak świadomość i Abbie poczuła zakłopotanie. Nie otwierając oczu, przyłgnęła do niego mocniej. Miała wrażenie, że znajdują się na krawędzi jakiejś otchłani. Dopóki nie wykona żadnego ruchu i nie zda sobie sprawy z tego, co robi, wszystko jeszcze da się odwrócić.

Nagle zadzwonił telefon. Przestraszona, z poczuciem winy, wyswobodziła się z ramion Yatesa, który szybko opuścił ręce, zaciskając pięści. Okulary przekrzywiły mu się, ale z jego twarzy biła jakaś siła, którą ledwo hamował.

Miała rozpaloną twarz, nie śmiała na niego spojrzeć. Zmieszana podniosła słuchawkę.

- Halo? - zapytała zmienionym głosem.

- Cześć, kochanie - powitał ją Lucky. - Powiedz mi, jak bardzo mnie kochasz. Musiałem usłyszeć twój głos, najdroższa...

ROZDZIAŁ ÓSMY

Abbie otworzyła usta, ale była tak spięta, że nie mogła wydobyć słowa.

- Słyszysz mnie?

Przetarła ręką oczy. To przecież Lucky, mężczyzna, którego kocha. To jego ma poślubić i jemu przyrzekała, że nigdy go nie zdradzi.

- Ja... - zamknęła oczy, wiedząc, że Yates stoi z tyłu i słyszy każde słowo - bardzo cię kocham. - Zaczerpnęła tchu, ale i tak mówiła z trudem, sparaliżowana poczuciem winy. - I tak będzie zawsze...

- Na pewno?

- Oczywiście - potwierdziła skwapliwie, zaciskając zęby.

O, Boże, myślała zrozpaczona, co ja zrobiłam? Jak mogłam!

- Jakiś impuls kazał mi do ciebie zadzwonić, kochanie - powiedział. - Jestem w nie najlepszym nastroju, czuję się trochę przygnębiony.

Szeroko otworzyła oczy.

- W złym nastroju? Przygnębiony? Lucky, czy coś się stało? - ogarnęła ją panika, wyobraźnia podpowiadała same okropności.

- Wiesz, słonko - powiedział z przejmującym smutkiem w głosie - zdarzył się mały wypadek i w związku z tym muszę tu zostać dłużej, niż zamierzałem.

- Wypadek? - powtórzyła przerażona.

- Cholera - zdenerwował się Lucky. - Próbowałem jeździć na nartach wodnych. Pomyślałem, że skoro potrafię ujeżdżać byki, to też nie sprawi mi trudności, kapujesz? Ale, wierz mi, fale mogą zwalić z nóg, ani się spostrzeżesz.

To kara za to, co zrobiłam, pomyślała. Przeze mnie Lucky cierpi.

- Co się stało? Czy to coś poważnego? - zapytała.

- Nadeszła wielka fala, spadłem i deska mnie przykryła. O mało nie trzepnęła mnie w twarz...

Abbie dech zaparło. Trudno jej było sobie wyobrazić piękną twarz narzeczonego zeszpeconą. Był przecież bardzo dumny ze swej urody, co z pewnością potęgowało jego udrękę.

- Przytrzymałem deskę ręką, ale mimo to trafiła mnie w oko. Lekarz mówi, że mam odwarstwioną siatkówkę.

- Och, Lucky, to straszne! - Abbie zbierało się na płacz.

Nie weźmie więc udziału w rodeo. Kto wie, może nigdy nie będzie dobrze widział? W każdym razie na kilka miesięcy na pewno zostanie wyłączony z zawodów. Łzy wezbrały w oczach dziewczyny. Stała odwrócona tyłem do Yatesa, czując rozpacz, narastającą z każdą minutą.

- Czy jesteś w szpitalu? - zapytała stłumionym głosem.

- Tak. Na obserwacji. Jutro mnie wypuszczą.

- Wobec tego przyjedziesz do domu - ucieszyła się.

Gdyby Lucky był tutaj, wszystko wróciłoby do normy.

- Jaki to miałoby sens? Przecież i tak nie mogę jeździć. Nic bym nie zarabiał. Państwo Fetterman chcą, żebym jeszcze został, więc chyba tak zrobię.

- Fetterman?

- Tak. To właściciele rancza. Bogole, mówię ci. Bawiłem się z ich dziećmi, gdy to mi się stało, więc oni w jakiś sposób czują się winni. Zresztą, nie mam wyboru, przecież Fetterman kupuje mi bilet powrotny.

- Ach, tak - powiedziała Abbie, ogromnie rozczarowana. - Wobec tego, jak długo tam będziesz? Czy nie możesz sam zapłacić za bilet? Tutaj mogłabym się tobą zaopiekować.

- Abbie, to bez sensu! - mówił coraz bardziej zniecierpliwionym tonem. - Miałbym wydać tyle forsy na podróż i jechać do Nebraski, aby odmrozić sobie kuper?!

- Ale mnie jest smutno, kiedy jesteś chory, tak daleko...

- Posłuchaj, byłoby głupotą wydawać tyle szmalu. Tu płacą mi za pokój i wyżywienie. To są w końcu Hawaje. Nawet jeśli tkwię sam w tym cholernym szpitalu, podczas gdy inni się bawią...

- Bawią się?

- Córka Fettermana urządza przyjęcie urodzinowe w hotelu. Wielki bal - znów zaklął. - Nienawidzę szpitali. To straszne, że akurat teraz nie jestem w formie.

- Wiem.

Pamiętała, że za każdym razem, gdy w Bison City ulegał kontuzji, był rozdrażniony i zły. Mówił wtedy, że zwariowałby, gdyby nie jej obecność.

- Leżę na tym łożu bóleści, za oknem piękna noc, orchidee i palmy w poświacie księżyca, a ja nie mogę się stąd ruszyć - skarżył się.

- Tu jest głucho, ciemno i szaleje burza śnieżna - powiedziała, chcąc go pocieszyć.

Lucky roześmiał się gorzko.

- Przynajmniej tego mi oszczędzono. O, rany, ale boli.

- Co cię boli? - Abbie skrzywiła się w odruchu współczucia.

- Głowa. Od śmiechu. Ale tak naprawdę wcale mi nie jest wesoło, bo tkwię tu sam, szczególnie kiedy inni... - nie dokończył zdania.

- Szczególnie kiedy inni... co? - zapytała głosem zdławionym łzami.

- Szczególnie kiedy ty jesteś tak daleko - skłamał gładko. - Tu się naprawdę można zanudzić, słonko. Przypomina mi się dzieciństwo. Złamałem

nogę, tata był wtedy w kiciu, a moja głupia mamuska musiała harować. Byłem więc sam, jak kołek w płocie. Zostawiała mnie przed telewizorem z kilkoma butelkami oranżady i pudełkiem krakersów. Przez miesiąc nie miałem w gębie nic, prócz oranżady i tych ciastek. Boże, do tej pory nie cierpię tak leżeć.

Abbie zamknęła oczy, cierpiąc razem z Luckym. Tyle już razy opowiadał o złamanej nodze. Widocznie to zdarzenie prześladowało go, stało się symbolem zaniedbania, opuszczenia i niedoli, jakich doznał w dzieciństwie.

- Tak mi przykro - powiedziała.

Żałowała go z powodu cierpienia w przeszłości i obecnie, ale przede wszystkim myślała o własnej niewierności.

- Powiedz mi teraz wszystkie słodkie rzeczy, których tak lubię słuchać, kochanie - poprosił.

Poruszyła się zażenowana, wiedząc, że Yates stoi w pobliżu i słucha. Niech słyszy, pomyślała buntowniczo. Tamta chwila zapomnienia jest niczym wobec miłości do Lucky'ego.

- Jesteś przystojny - powiedziała z całym przekonaniem, na jakie się mogła zdobyć. Wiedziała, czym go zadowolić. Zawsze, gdy potrzebował czułości, powtarzała tę samą litanie. - Jesteś przystojny, zręczny i nieustraszony, jak przystało na najlepszego jeźdźca rodeo na zachód od Missisipi.

- Zapomniałaś dodać „czarujący” - przypomniał jej.

- Ach, tak, rzeczywiście. Jesteś przystojnym, zręcznym, czarującym, nieustraszonym i najlepszym jeźdźcem rodeo na zachód od Missisipi.

- No, tak już lepiej, maleńka - ucieszył się.

- Lucky, czy na pewno nie jesteś bardziej chory, niż powiedziałeś? - zaniepokoiła się nagle.

- Szybko wyzdrowieję, jeśli tylko będę dbał o siebie, a taki mam właśnie zamiar. Aha, Abbie, chciałbym cię prosić o pewną przysługę.

- Słucham? - mówiła ciszej, bo miała wrażenie, że obecny w pokoju Yates zabiera jej cały tlen. Powinien wreszcie wyjść i przestać podsłuchiwać.

- W sejfie twojego dziadka zostawiłem trochę niklowych monet. Na opakowaniu zobaczysz nalepkę. Są podniszczone, niewiele warte - piętnaście, może dwadzieścia dolarów. Prześlij mi je szybko. Najmłodsza córka Fettermana zbiera stare pieniądze. Obiecałem jej kilka sztuk. Nie otwieraj paczki, przyślij wszystkie tutaj. Chociaż w ten sposób spróbuję im się zrewanżować za to, co dla mnie zrobili. Masz coś do pisania? Zapisz, kochanie, adres.

Abbie zaczęła gorączkowo szukać długopisu i zanotowała adres, ale w głowie miała mętlik. Lucky zaskoczył ją, nie pamiętała, by kiedykolwiek coś trzymał w sejfie dziadka.

- Wyślij to natychmiast - nalegał.

- Ale... ja... - jękała się. - Jest straszna zamieć, teraz nie mogę!

- Zrób to najszybciej, jak ci się uda, słonko. Zrobisz to dla Lucky'ego? Przecież mnie kochasz, prawda? Mnie i tylko mnie? Na zawsze?

Kąciki ust Abbie wykrzywiły się w płaczliwym grymasie.

- Oczywiście...

- O rany, zdaje się, że mam gościa - przerwał jej radosnym głosem. - Muszę kończyć. Zadzwońię któregoś dnia. I przyślij mi to, o co cię prosiłem, dobrze? Ktoś szczególnie czeka na tę niespodziankę.

Nie miała szans odpowiedzieć, bo Lucky odłożył słuchawkę. Odwróciła twarz w stronę Yatesa i spojrzała na niego z pogardą.

- Miło ci było tak podsłuchiwać? - rzuciła ze złością.

- Niezbyt. To - wskazał na aparat słuchowy - działa niezbyt dobrze.

Jednak nie bardzo mi się podobało to, co usłyszałem.

Potarła odwróconą dłonią usta, jakby chciała z nich zetrzeć niedawne pocałunki.

- Wobec tego jesteśmy kwita. Bo mnie nie podobało się to, co ty zrobiłeś.

Wsunął palce pod pasek u spodni i przyglądał się Abbie z kamiennym wyrazem twarzy.

- Miałem wrażenie, że ci to odpowiada. Przynajmniej do czasu, gdy zadzwonił twój ukochany - spojrzał z niechęcią na telefon.

- To, co się między nami wydarzyło... - zaczęła z hardą miną.

- Jest bez znaczenia - dokończył za nią. - Byliśmy zmęczeni, trochę przyczyniła się do tego twoja ogromna tęsknota za Luckym - znów wskazał głową na telefon, uśmiechając się ironicznie - więc na chwilę zapomnieliśmy się. Ale nikomu nie stała się żadna krzywda, więc spokojnie możesz powtórzyć jeszcze raz, że to nie ma najmniejszego znaczenia.

- Żebyś wiedział!

- A tak na marginesie, zechcesz posłuchać pewnej rady?

- Nie od ciebie.

- Mimo to udzielię ci jej: stać cię na coś lepszego.

- Nie wiem, o co ci chodzi - powiedziała, mrużąc oczy.

- O Gibbsa. Stać cię na kogoś porządniejszego. Potrząsnęła głową, robiąc nadętą minę.

- Przecież go nie znasz - odparła z butą.

- Jest więc chory - kontynuował Yates. - Potrzebne mu współczucie, ale nie na tyle, żeby tu wrócić i zobaczyć się z tobą. Siedzi sobie na Hawajach, podczas gdy ty i twój ojciec konacie ze zmęczenia...

- Przestań! Idź tam - syknęła, wskazując palcem w stronę gabinetu dziadka - i rób to, za co ci płacą. Albo połącz się spać. Tylko nie wchodź mi w drogę, wynoś się z mego życia i nie podsłuchuj prywatnych rozmów. Nawet nie wiesz, co powiedział, więc...

- Wcale nie musiałem podsłuchiwać - odparł, wzruszając ramionami. - Wiem jednak, że to była jednostronna rozmowa. Wyłącznie o nim. Czy zadał ci choćby jedno pytanie dotyczące ciebie?

Zbladła. Z premedytacją uderzył w jej najczulszy punkt. Nie chciała analizować jego oskarżeń. Nie przyjmowała takich uwag, niepotrzebnie budził w niej wątpliwości.

- To nie twoja sprawa - powiedziała, siląc się na godność.

- To prawda, ale pozwól, że wypowiem się do końca. Czy interesuje go, co tu robisz? Że twój ojciec nie może się dostać do domu z powodu zamieci? Jak zareagował, gdy mu powiedziałaś, że tu jest burza śnieżna? Czy przypuszcza, że się zamęczasz, żeby uratować żrebaka? Czy wie, że jesteś tu ze mną, obcym mężczyzną, sam na sam? Czy on w ogóle jest w stanie zainteresować się czymkolwiek, poza czubkiem własnego nosa?

- Jest chory - odcięła się, zaciskając pięści. - Chory i samotny, tysiące mil stąd. Nawet nie wie, jak długo będzie tam musiał siedzieć. Tyle przeszedł w życiu...

Yates roześmiał się sceptycznie.

- Abbie, on jest na Hawajach, na miłość boską. Nawet cię nie powiadomił, że się tam wybiera. Niezły z niego numer. Dlaczego tak atrakcyjna dziewczyna, jak ty, może...

- Jestem mu potrzebna! - zawołała z furją. - Nikt, prócz mnie, go nie rozumie. Zawiódł się na tylu ludziach. Ja go nie opuszczę! Tylko na mnie może liczyć. Doznał wyłącznie niewierności. Ja będę mu wierna! Nikogo nie obchodzi, jakie on miał ciężkie życie!

Znów się roześmiał. Miała ochotę spoliczkować go. Nie wiedziała już, na kogo się złości: na siebie, na niego czy na Gibbsa. Najłatwiej było ugodzić Yatesa, tym bardziej że prowokował ją zarzutami. Dlaczego nagle zwrócił się przeciwko Lucky'emu? Aby usprawiedliwić własne postęпки? Nagle poczuła do niego niemal nienawiść.

- Współczucie to wspaniała cecha - uśmiechnął się z ironią. - Tak samo, jak potrzeba niesienia pomocy. Ale przesada jest niebezpieczna we wszystkim, nawet w miłości.

Atmosfera zdawała się zagęszczać. Abbie gorączkowo szukała słów, którymi mogłaby go zranić tak, jak on ją zranił.

- Może przemawia przez ciebie zazdrość - powiedziała. - On jest prawdziwym mężczyzną, a nie nadętym sztywniakiem. Ujeżdża byki, a ty jesteś gryziopórkiem. On ryzykuje życie, ty sporządzasz nudne inwentarze. Idź, pobaw się komputerem. Ja mam ważniejsze sprawy na głowie.

Z dumnie podniesioną głową ruszyła na werandę. Słyszała, jak Yates zaklął siarczyście.

Postanowił pracować przez całą noc. Nie chciało mu się spać. Musiał się dowiedzieć, co stary Mylo wpisał do rejestru i porównać z tym, co de facto kolekcja zawierała. Chciał udowodnić, że miał kiedyś monety, które później odnaleziono w Teksasie jako skradzione. Dowiedzie, że Gibbs jest winien, po czym raz na zawsze skończy z tą sprawą i wyjedzie.

Wpatrywał się w ekran monitora, zaciskając zęby ze złości. Był głupcem, skończonym idiotą, opowiadając jej tamtą historię. Nie powinien ryzykować. Wydawało mu się, że lepiej przygotować dziewczynę, by nie była całkowicie zaskoczona aresztowaniem Lucky'ego. Chciał jej oszczędzić szoku. Próbował okrężną drogą przestrzec ją.

Wściekał się na siebie, że nie potrafił powstrzymać się i zbliżyć się do niej. Nie mógł sobie wybaczyć, że zgłupiał tak dalece, iż zaczął ją całować. Ale jednocześnie wspomnienie tamtej chwili przekreślało cały jego rozsądek i znów pogrążył się w marzeniach.

Z początku zamierzał tylko ostrzec Abbie, że Lucky Gibbs nie wróci na ranczo, ale szybko się zorientował, że chce, by w ogóle wyrzuciła go z pamięci, bo przecież on... pragnie jej dla siebie. Złościł się, ale nic nie mógł na to poradzić. Czasami patrzył na nią i krew zdawała się w nim płonąć z pożądania. Wdawał się w uprzejme rozmowy, a jednocześnie marzył o kochaniu się z nią do utraty tchu.

Co gorsza, nie było to tylko pożądanie. Dziwnie ją lubił. Dotychczas rzadko pociągały go kobiety, dzięki temu nie komplikował sobie życia. Dopiero

ona zburzyła ten spokój. Była piękna i pociągająca, ale podziwiał w niej też siłę i zdecydowanie w okazywaniu współczucia i walkę o dobro.

Nie nawykł do troszczenia się o innych. Ludzie, którzy to robili, sami doznawali cierpienia. Kiedy więc opuścił dom dziadków, starał się nie oglądać wstecz i nie wracać myślami do tamtych czasów. Abbie Hale miała zupełnie inny charakter. Troskliwa, pamiętliwa, zawsze wracała do przeszłości, lub... wybiegała w przyszłość. Właściwie sam nie wiedział, czy wzbudza w nim przez to żal, czy podziw.

Chciałby ją chronić, ale to niemożliwe. W ogóle był szaleńcem, angażując się w tę sprawę. Okłamywali ją obydwaj - i Lucky, i on. Jakim prawem wziął ją wtedy w ramiona, skoro zamiast bronić, oszukiwał ją?

Abbie usnęła z budzikiem w rękę. Po przebudzeniu zaczęła go szukać. Nie znalazła, więc w panice wstała szybko i poszła na werandę. Zapaliła światło. Zaskoczona ujrzała na wiklinowym stoliku zegar, wskazujący szóstą. Widocznie źle chodzi, pomyślała, przecierając oczy.

W drzwiach do kuchni wpadła na Yatesa. Zderzyli się, aż się zatoczyła. Wysunął rękę, chcąc ją złapać. Wciąż jeszcze na wpół śpiąc, spojrzała mu w twarz. Był zmęczony, nie ogolony i miał podkrążone oczy. Podwinął rękawy koszuli, w rękę trzymał butelkę z pokarmem.

Gdy tylko odzyskała równowagę, puścił jej rękę, jakby go parzyła.

- Co ty wyprawiasz? - zapytała ze złością.

Nie wybaczyła mu jeszcze wczorajszego incydentu, sobie zresztą również.

- Karmię żrebaka, wracaj do łóżka - wyminął ją i wszedł na werandę.

Abbie poszła za nim, obudzona już, ale w złym humorze.

- Ty idź spać. To mój koń, ja się nim zajmę - oponowała.

Przykucnął obok Frosty'ego i pomógł mu wstać. Żrebak stał, chwiejąc się, podtrzymywany przez Yatesa. Nadstawił uszu i otworzył pyszczek, czekając na pokarm.

- Daj mi to - powiedziała Abbie, klękając obok Yatesa i wyciągając rękę po butelkę.

Zignorował prośbę.

- Wracaj do łóżka - powtórzył po chwili.

- Czy karmiłeś go przez całą noc? Dlaczego mnie nie obudziłeś? W ogóle nie spałeś?

- Im więcej będę pracował, tym szybciej stąd wyjadę.

Już miała mu podziękować, ale rozzłościł ją jego suchy ton.

- Jeszcze szybciej skończysz, jeśli zostawisz żrebaka i zajmiesz się wyłącznie komputerem - zauważyła logicznie. - Dasz mi wreszcie tę butelkę, czy mam ci ją odebrać siłą?

- Nie próbowałbym siły na twoim miejscu - odciął się, patrząc na nią wymownie.

Groźba w jego głosie podziałała. Abbie przysiadła na piętach i przyglądała się, jak karmi Frosty'ego. Było jej zimno, chociaż grzejnik działał i trochę ciepła przedostawało się z salonu przez otwarte drzwi. Na zewnątrz wciąż jeszcze szalała burza, okna pokrywał srebrzysty szron, dał silny wiatr.

- Idź do pokoju - nakazał Yates bezbarwnym tonem.

- Facet, który napęlnia butlę pieca propanem miał przyjść dzisiaj, ale nie da rady w taką pogodę, więc musimy oszczędzać, nie mogę podkręcić grzejnika.

Yates ze zrozumieniem skinął głową.

- Ile spałeś w ciągu ostatnich dwóch nocy? Około trzech godzin? Chyba nie więcej? - dopytywała się.

Ale Yates nie odpowiadał.

- Potrafię być tak samo uparta, jak ty. Proszę bardzo, nakarm go, ja tymczasem posprzątam.

Sięgnęła do pudełka z torbami na śmieci i wyjęła jedną. Gdy jednak wzięła w rękę szczotkę i szufelkę, zorientowała się, że zmienił już słomę po poprzednim karmieniu Frosty'ego.

Westchnęła rozdrażniona i zmiotła resztki słomy do torby. Potem podparła się pod boki, patrząc krytycznie na Yatesa.

- Nie rozumiem, dlaczego to wszystko robisz. Zgrywasz się na bohatera, czy co?

- Jeśli już mowa o bohaterach - powiedział, spoglądając na nią z kpina w oczach - jak sądzisz, ile teraz może być stopni na Hawajach?

Potem zajął się wyłącznie żrebakiem. Jego sarkazm i pełen pogardy wyraz twarzy zupełnie ją wyprowadziły z równowagi.

- Nie masz prawa tak mówić o Luckym - syknęła.

Twarz Yatesa stała się nieodgadniona. Uśmiechnął się po chwili, ale był to gorzki uśmiech.

- Przepraszam. Jestem zmęczony, zapomniałem się - bąknął. ,

Abbie nachmurzyła się, nie wiedząc, co o tym sądzić. Szyderstwo w głosie Yatesa zabarwione było smutkiem, wyczuła w nim dojmujący ból. W miarę, jak mu się przyglądała, malała w niej złość, a narastało uczucie przygnębienia. Z dziwnym drżeniem uświadomiła sobie, że Yates jej się podoba, gdy tak klęczy przy Frostym. To szaleństwo, ale nie mogła zaprzeczyć tym uczuciom.

Klęczał na słomie, w jednej ręce trzymając butelkę, drugą podpierając chwiejącego się żrebaka.

Rozpięta koszula z podwiniętymi rękawami uwidaczniała muskularność rąk, ramion i torsu. Nie wydawał się już ani trochę pedantyczny i śmieszny. Złote światło połyskiwało w jego czarnych włosach i nadawało skórze odcień ciemnego brązu. Wydawało się jej, że bije od niego jakaś siła, chociaż niedawno uważała, że jest zbyt łagodny. Zaskoczyło ją to, jakby zmęczenie odsłoniło nagle coś, co do tej pory drzemało w ukryciu. Trzymał Frosty'ego mocno, a jednocześnie z dziwną delikatnością.

W pewnej chwili uświadomiła sobie, że oboje obserwują się nawzajem - za długo i zbyt intensywnie. Przypomniała sobie zdarzenie z poprzedniego

wieczoru, odczuwając wstyd i strach. Mimo to nie mogła oderwać wzroku od Yatesa.

- Dlaczego to robisz? - zapytała cicho.

Nie była pewna, co miała na myśli. Dlaczego karmił za nią żrebaka? Dlaczego tak się zmienił i stał się wrogi wobec Lucky'ego? Czy też - dlaczego tak dziwnie na nią patrzył?

Przez chwilę nie odpowiadał, jakby się zastanawiał.

- Przecież ktoś musi - powiedział wreszcie.

Jego odpowiedź, podobnie jak pytanie, była wieloznaczna.

- Idź się przespać, Abbie - powiedział znużonym głosem. - Nie kłóćmy się, mieliśmy sobie pomagać, pamiętasz?

- Ja się wyspałam - powiedziała, czując, jak fala ciepła zalewa jej serce. - Pójdę do stajni, a kiedy wrócę, nie chcę cię tu widzieć, masz już spać - nakazała.

Yates był równie uparty, jak ona. Kiedy przebrana wróciła ze swego pokoju, czekał już na nią w roboczym ubraniu Johna. Wyszła sama, ale dogonił ją.

Na dworze było jeszcze ciemno, wiatr trochę ustał i ociepliło się. Śnieg wirował w powietrzu, ale jakby wolniej.

Złapał ją za rękę, jakby chciał przypomnieć, że jest przy niej. Mimo ciemności dostrzegła zmęczenie na jego twarzy. Niósł pudełko z wiankami, które zapomniała zabrać.

- A teraz... po co to robisz? - zapytała, potrząsając z rezygnacją głową.

Nagle znów zerwał się wiatr, aż zatoczyła się pod jego naporem. Yates przytrzymał ją mocniej.

- Mówiłem ci - powiedział, usiłując przekrzyczeć wicher - że musimy sobie pomagać. Przynajmniej dopóki burza nie ustanie.

Abbie opuściła głowę, by śnieg nie padał jej w twarz. Nie odtrąciła obejmującej ją ręki.

- Jesteś nieznośny, po prostu nieznośny - powiedziała.

Wiatr uderzył znowu, omal jej nie przewracając. Yates otoczył ją ramieniem i osłonił swoim ciałem od silnych podmuchów. Nie patrzył na nią, tylko podtrzymywał mocno i szedł naprzód z wysoko podniesioną głową.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Ranek okazał się pełen wrażeń. Na zewnątrz było zimno i wciąż padał śnieg, w stajni niewiele cieplej. Koty skuliły się blisko siebie, aby się ogrzać. Z pysków koni ulatywała para, tupały i rżały, gdy Abbie zmieniała im ściółkę. Yates musiał pokruszyć lód - woda zamarzała, bo w nocy pękł stojący tu grzejnik. Od ciężkiej pracy bolały ją ręce. Przygotowała legowiska ze świeżej słomy i siana we wszystkich przegrodach. Pomagał jej ze zdwojoną siłą.

Na chwilę przerwali, gdy wszedł Mingus, przemarznięty, Przystępując z nogi na nogę, i powiedział, że nie może wyprowadzić ciężarówki, bo śnieg usypał ogromne zasy i zatarasował drzwi. Od dwóch godzin pracował łopata, ale końca nie widać.

Yates zaofiarował pomoc. Patrząc na jego wysoką postać, znikającą z parobkiem w ciemnościach, pomyślała, że przecież nie dałaby sobie rady bez niego. Pomoc Yatesa w sytuacji, w której się znalazła, była nieoceniona.

Gdy wyszedł, mimo nawału pracy czas jej się dłużył. Wreszcie obaj mężczyźni wrócili z wiadomością, że burza ustała na tyle, iż mogą zawieźć siano na najbliższy teren wypasu.

- Nie ma innego wyjścia - powiedział Mingus. - Wezmę konia, psy i zagonię trzodę do siana.

- To za duże ryzyko - stwierdziła Abbie.

Chociaż pomocnik ojca był twardy i nawykł do pracy w ciężkich warunkach, obawiała się, że zginie, jeśli zamieć przybierze znów na sile.

- Pójdę z tobą - zaproponował Yates, strzepując śnieg z runda kapelusza.

Popatrzyła na niego ze współczuciem i obawą. Miał dziurawe rękawice, odmrozi sobie rękę. Mingus pokręcił głową z dezaprobatą.

- Będziesz mi tylko przeszkadzał, chłopcze - powiedział, mierząc go wzrokiem. - Wezmę dwa psy i dam sobie radę.

- Wiem, co robię - powiedział Yates stanowczo.

- Mam pewne doświadczenia z młodości.

- Tak sądzisz? - parobek wciąż jeszcze nie dowierzał mu. - Taki mieszcuch, jak ty, nie potrafi się zmagać z szalejącą burzą śnieżną - wymownie wskazał głową na groźne niebo.

- Nic mi nie będzie - odparł Yates z uporem.

- Posłuchaj Mingusa - powiedziała Abbie, kładąc mu rękę na ramieniu. - To zbyt niebezpieczne, a ty nie nawykłeś do takich warunków.

- Skąd ty możesz wiedzieć, do czego nawykłem? - zapytał niemal z groźbą w oczach.

W duchu musiała mu przyznać rację. Właściwie nie знаła go. W gruncie rzeczy stanowił dla niej zagadkę. Mimo wszystko jednak nie chciała, aby poszedł.

- Powinieneś odpocząć - szepnęła.

- Abbie, znaleźliśmy się w krytycznej sytuacji. Każdy ma swój obowiązek do spełnienia, pozwól, że i ja zrobię, co do mnie należy.

Mingus pokiwał głową z rezygnacją.

- Jeśli tylko może pomóc, przyda się. Puść go, Abbie.

Cofnęła rękę, którą wciąż kurczowo trzymała rękaw kurtki Yatesa.

- Nie martw się o mnie - powiedział. - Wrócę najszybciej, jak będę mógł. Uważaj na siebie, dobrze?

Poczuła dziwny ucisk w gardle, gdy patrzyła, jak znów wychodzi. Miała ochotę wybiec za nim, nakłonić go, by wziął jej rękawice zamiast dziurawych Johna, chociaż w chwilę później śmiała się ze swoich absurdalnych myśli, bo

przecież i tak by nie pasowały. Bez skutku próbowała opanować gwałtowne wzruszenie.

Porozwieszała girlandy i wianki i przyglądała się im z rozbawieniem, bo wyglądały dziwnie wesoło w mrocznej stajni. Pogłaskała zziębnięte koty, po czym wróciła do domu.

Frosty powitał ją rzeniem, najwyraźniej czekał już na jedzenie. Padała ze zmęczenia, a źrebaka, coraz bardziej żywotnego i hałaśliwego, trudno było utrzymać w miejscu, po raz pierwszy stał jednak bez podtrzymywania. Wprawdzie nogi trochę mu się chwiały, żebra podnosiły się i opadały z wysiłku, ale nawet próbował przejść kilka kroków. Cofał się, gdy robiła mu zastrzyk, parskał i potrząsał łbem, machał ogonem.

Ze szczęścia zarzuciła mu ręce na szyję i przytuliła się do niego, w jej oczach zabłyśły łzy radości.

- Będiesz zupełnie zdrow - powiedziała głosem, załamującym się pod wpływem wzruszenia. - Na pewno. Teraz już nic ci nie grozi. - Wciąż jeszcze nie mogła uwierzyć własnym słowom.

Jej poświęcenie dla źrebaka w pewnym sensie przypominało miłość do Lucky'ego. Abbie była niezawodna i wierna w uczuciach.

Tymczasem Frosty zaczynał sprawiać nowe kłopoty. Próbował wejść za nią do pokoju, musiała tarasować wejście, przysuwając krzesła i stół. Nadeszła pora, żeby go odstawić od butelki, może Jetta zechce go karmić? - zastanawiała się.

Wzięła prysznic, przebrała się w czyste dzinsy i ulubiony niebieski sweter, po czym postanowiła zadzwonić do ojca. Nie miała od niego żadnych wieści, może był już w drodze do domu? Bez niego nie czuła się całkiem bezpieczna, zwłaszcza że Yates Connley zaczynał ją niepokojąco interesować. Wykręciła numer Hurleyów i poprosiła tatę.

- Abbie - powiedział - nie mogę jeszcze wrócić. Droga na nasze ranczo jest zupełnie zasypana.

- Szkoda - odpowiedziała z żalem.

- Wyjeżdżamy traktorami na zmianę: ja, Hurley, jego synowie i Carson, pomocnik. Młodzi właśnie pojechali. Potem kolej na nas, starych.

- Tatusiu, nie szarżuj, proszę - zawahała się, jakby się bała przekazać mu smutną wiadomość. - Wczoraj dzwonił Preston. Nie przyjeżdżają na święta. Matka Marcie będzie miała operację, więc jadą do niej.

- Szkoda - mruknął.

Abbie znów się zawahała, postanowiła jednak poruszyć kolejny przykry temat. Martwiła się o ojca i nie zamierzała tego ukrywać.

- Jest jeszcze coś, o czym ci nie powiedziałam. John powiadomił mnie o twoim nadciśnieniu. Proszę, nie przemęczaj się. Przyrzekasz?

Frazier zaklął. Zwymyślał za długi język najpierw Johna, a potem Prestona. Zapewnił ją wreszcie, że czuje się zupełnie dobrze.

- Czy wzięłaś ze sobą lekarstwa? Chyba lekarz kazał ci je brać regularnie?
- niepokoiła się.

Frazier zapewnił, że ma przy sobie cholerne pigułki, aby jej nie sprawiać cholernych problemów ze zdrowiem. Abbie z trudem powstrzymała się od śmiechu. Najwyraźniej ojciec rzeczywiście był w dobrej formie.

- Jak się ma Mingus? - Frazier zmienił temat. - Jak tylko przestanie padać, niech weźmie konia i psy i...

- Już to zrobił - uspokoiła go Abbie. - Yates, znaczy Connley, pojechał z nim. On nie może odtworzyć danych z dyskietki. Zamiast się zająć swoją pracą, pomaga mi... nam we wszystkim. Powiedz mu, żeby robił tylko to, co do niego należy. Przecież nie płacisz mu za wyrzucanie gnoju ze stajni ani za naganianie bydła.

- Connley z Mingusem? Nie do wiary - dziwił się Frazier.

- Musisz mu zakazać...

- Zakazać? Przez cały dzień zamartwiam się o trzodę i zastanawiam się, jak sobie poradzisz. Connley nie zginie, nie martw się. Tylko czy on potrafi...?

- Wygląda na to, że tak. Ale próbuje robić dwie rzeczy naraz, więc naprawdę powinieneś mu powiedzieć...

- Abbie, jeśli facet jest obrotny i ma dość energii, to tylko dobrze o nim świadczy. Przynajmniej nie zbija bąków gdzieś w Honolulu, jak ten twój...

Ugodzona do żywego, Abbie o mało nie rzuciła słuchawki.

- Obiecałeś, że nie będziesz krytykował...

- Dobrze, już dobrze - mruknął Frazier. - Pozwól mi tylko powiedzieć, że najlepszym prezentem świątecznym, jaki możesz sobie sprawić, byłoby pozbycie się raz na zawsze tego typu spod ciemnej gwiazdy.

- Obiecałeś - przerwała mu zrozpaczona. - Jak możemy mieć udane święta, jeżeli ty...

- Uspokój się - powiedział z rezygnacją. - Właśnie wrócili chłopcy Hurleyów. Muszę jechać. Abbie?

- Słucham?

- Jak tam żrebak?

- Świetnie. Już stoi. Chyba można zrezygnować z butelki, jeśli tylko Jetta go przyjmie.

- Cieszę się - powiedział krótko. - Pa, Ab. Uważaj na siebie.

Odłożył słuchawkę. Abbie długo jeszcze wpatrywała się w aparat. Ojciec wzruszył ją, pytając o żrebaka. Nawet zwięzłe stwierdzenie, że się cieszy, w jego ustach wiele znaczyło.

Spojrzała w okno. Śnieg nadal padał, ale wiatr nie dał już z taką siłą. Na północy było jednak ciemno i kłębiły się chmury, zapowiadając kolejną, może nawet groźniejszą, nawałnicę.

Od wyjazdu Yatesa i Mingusa upłynęło już sporo czasu i Abbie martwiła się o nich. Po południu śnieg wirował szybciej, wzmógł się wiatr i niebo pociemniało. Dla zabicia czasu postanowiła posiedzieć trochę przy komputerze dziadka. Yates wypróbował wszystkie słowa, przychodzące mu do głowy, aby

odtworzyć dane z dyskietki. Może jej właśnie uda się odnaleźć właściwe? W końcu ona najlepiej знаła starego Mylo.

Stukała w klawiaturę niemal przez dwie godziny. Wprowadzała wszystkie słowa istotne dla dziadka: imiona i nazwisko panieńskie babki, imiona rodziców dziadka, ciotek, wujów, kuzynów, przyjaciół, również imiona psów, koni, i znanych, lubianych przez niego postaci z telewizji.

Wszystko na próżno. Za każdym razem, gdy napisała jakieś słowo, na ekranie pojawiała się informacja: „złe polecenie”. Nic dziwnego, że Yates tak się zniechęcił. Cierpliwie próbowała zapisywać te same hasła wstecz. Bez skutku.

Nagle usłyszała tupot ciężkich butów na werandzie. Ucieszyła się, że Yates wreszcie wrócił. Pobiegła do kuchni i zajrzała do rondla, w którym od dłuższego już czasu dusił się gulasz wołowy. Pokroiła chleb własnego wypieku. Od rana nie miał nic w ustach, więc zależało jej, aby teraz zjadł coś ciepłego.

Był cały ośnieżony. Z trudem zdejmował postrzępione rękawice. Zauważyła, że nie może zginać palców.

- Jak ty wyglądasz! - zawołała przerażona. - Musiałeś strasznie zmarznąć!

Nie zastanawiając się dłużej, podbiegła i zdjęła mu szalik. Powiesiła go na kołku i zaczęła strzepywać śnieg z ramion. Wpatrywał się w nią przenikliwie, z trudem oddychając. Wykrzywił się z bólu, usiłując zdjąć rękawice. Dłonie miał sine, kostki zakrwawione.

- Och, Yates - szepnęła zrozpaczona. - Czy masz jeszcze czucie w palcach?

- Aż za wiele - próbował żartować.

- Podejź do zlewu i zamocz je w ciepłej wodzie. Ja tymczasem przyniosę apteczkę.

- To nic poważnego - powiedział, ale posłusznie zrobił, co kazała.

Gdy wróciła, moczył już dłonie. Próbował się uśmiechać, ale widziała, jak bardzo jest zmęczony i zmarznięty.

- Jak tam ręce? - zapytała.

- Abbie, nic się nie stało. W każdym razie nie ma żadnych poważnych uszkodzeń.

- Trzeba przyłożyć środek odkażający na skaleczenia - powiedziała, chwytając go za łokieć. - Wejdz do pokoju, usiądź.

Wprawdzie z oporami, ale pozwolił jej się zaprowadzić na tapczan. Położyła sobie apteczkę na kolanach.

- Nie, zaczekaj - powiedziała po chwili. - Najpierw powinieneś się wykapać. Długa, gorąca kąpiel dobrze ci zrobi. To pomaga na odmrożenia.

- Nie mam odmrożeń. A poza tym, czuję nęcący zapach jedzenia. Wolałbym się najeść przed kąpielą. Nie rozumiem, po co zbudowałaś tę barykadę. Czyżby cię atakowali jacyś barbarzyńcy?

- To przez Frosty'ego. On już spaceruje.

- Naprawdę? Nie do wiary. Dokonałaś cudu - powiedział z ujmującym uśmiechem.

Uświadomiła sobie, jak silnie reaguje nawet na jego mimikę.

- Oboje dokonaliśmy cudu. Przecież miałeś w tym znaczący udział - powiedziała, unikając jego wzroku. - Daj mi rękę.

- Z największą przyjemnością - odrzekł tonem, który sprawił, że serce Abbie podskoczyło radośnie.

Ujęła jego wciąż jeszcze zimną dłoń w swoją. Próbowwała się skoncentrować wyłącznie na skaleczeniach, ale kiedy przyłożyła środek antyseptyczny i Yates odruchowo zacieśnił palce wokół jej ręki, ten ledwo wyczuwalny ruch dziwnie ją poruszył.

- Ja... wydaje mi się, że plaster nie utrzyma się w tym miejscu - powiedziała, patrząc na jego dłoń i delikatnie dotykając stawów okaleczonych palców.

- Chyba masz rację.

Ujęła obydwie jego dłonie w swoje w odruchu, jak jej się wydawało, współczucia.

- Wciąż jeszcze jest ci zimno - powiedziała zaniepokojona, pragnąc chociaż samą siłą woli przekazać mu trochę ciepła.

- Czy w taki właśnie sposób obchodzisz się ze swoim kowbojem? - zapytał zadziornie. - Musi być strasznym frajerem, skoro woli siedzieć na Hawajach, niż korzystać z takiej opieki.

Lucky. Wspominając o nim, wbił strzałę w jej serce. Nie myślała o narzeczonym od rozmowy z ojcem. Chciała wypuścić rękę Yatesa, ale nie pozwolił na to.

- Pracując z Mingusem podczas rozszalałej zamieci, myślałem o tym, co się między nami wydarzyło tamtego wieczoru. Ta myśl rozgrzewała mnie.

- Nie mów tak - protestowała, próbując się odsunąć.

Trzymał jednak mocno jej rękę.

- Nie żałuję, że to się stało - kontynuował. - Ale nie chcę cię skrzywdzić. Rzecz w tym, że nie pozwolę, żeby w ogóle ktokolwiek cię krzywdził.

- Nie wolno ci tak mówić - powiedziała zmieszana. - Wiesz przecież, że kocham Lucky'ego.

- Nie kochasz go - szepnął, pochylając się niżej.

Abbie powinna się odsunąć, ale nie była w stanie się ruszyć, jakby ją sparaliżowało. Tak naprawdę, chciała usłyszeć, co Yates mówi. Próbowала wysunąć rękę, ale zabrakło jej siły woli i niepokoiło ją to.

- Kocham - powtarzała uparcie.

Twarz Yatesa wyrażała znużenie, przemieszane z cierpieniem.

- Nieprawda - powiedział z naciskiem. Odwróciła twarz, ale wolną ręką ujął ją za podbródek i znów patrzyła mu prosto w oczy.

- Abbie, poświęciłaś się żrebackowi, ratując mu życie, chociaż każdy by zrezygnował, widząc, w jakim jest stanie. Poznałem cię dobrze. W dzieciństwie z pewnością zносиłaś do domu wszystkie pisklęta, jakie wypadły z gniazda.

Przyprowadzałaś zabłąkane psy i koty, choćby były ledwo żywe. Zapewne niejedną noc przesiedziałaś nad osieroconymi królikami i Bóg wie, czym jeszcze.

- Przestań - szepnęła, zaskoczona, że tak ją przejrzał.

Rzeczywiście zносиła do domu chore pisklęta, zdarzyło się nawet, ku oburzeniu ojca, że zaopiekowała się małym kojotem.

Zajmowała się porzuconymi źrebakami i cielętami. Nigdy nie zostawiła na pastwę losu żadnego kota ani psa. Karmiła je, pielęgnowała, znajdowała im domy, a jeśli były w zbyt oplakanyim stanie, by je ktokolwiek przyjął, zatrzymywała je przy sobie.

- Abbie - pochylił się jeszcze niżej - chyba temu nie zaprzeczysz? Lucky Gibbs to tylko kolejny przybłąd. Nie kochasz go za to, co ma, lecz za to, czego mu brak. Patrzysz na niego i dostrzegasz tylko to, że potrzebna mu pomoc. A on cię wykorzystuje.

Pokręciła głową i znów próbowała oswobodzić rękę, ale i tym razem bez skutku.

- Nic o nim nie wiesz - broniła Lucky'ego. - Nie masz prawa...

- Wiem więcej, niż sądzisz. I mam prawo, Abbie. Dużo o tym myślałem ostatnio i muszę...

Przerwał mu telefon i natychmiast zaczął żałować tego, co powiedział. Był bardzo zmęczony i zły na siebie.

- Powiniennem się trochę kontrolować - szepnął głosem pełnym goryczy.

- Puść mnie - Abbie wyszarpnęła rękę.

Wstała z rozpaloną twarzą i pobiegła do salonu. Krew pulsowała jej w skroniach, gdy podnosiła słuchawkę.

- Halo? - odezwała się zadowolona, że telefon przerwał jej rozmowę z Yatesem.

- Cześć! To ja, twój najukochańszy braciszek. Uśmiechnęła się słabo, rozpoznając głos Adona.

- Kiedy przyjeżdżasz? Tak bym chciała, żebyś już był z nami. Ani John, ani Preston nie mogą przyjechać. Powiedz chłopcom, że mamy nowo narodzonego żrebaka. Będą nim zachwyceni, zobaczysz.

- Posłuchaj, Abbie, naprawdę bardzo chciałem być z wami, zwłaszcza że będziesz nas potrzebowała. Ale nie możemy...

- Jak to, co się stało?

- Ab, w ubiegłym tygodniu pojechaliśmy z Laurel i dziećmi do teściów.

- No i?

- Wróciliśmy do domu wczoraj - kontynuował Adon głosem pełnym goryczy. - Okazało się, że kiedy nas nie było, pękła rura w łazience na górze. Wszystko w wodzie. Musiało się tak łać od piątku. Wprost do mojego gabinetu, na biurko, cholera! Abbie była bliska płaczu.

- W życiu nie widziałem takiego bałaganu - ciągnął Adon. - Cały dywan diabli wzięli. Mój komputer jest zniszczony. Muszę kupić nowy, instalować wszystko od początku. To samo z rzeczami Laurel: pomocami naukowymi, pracą magisterską...

- To straszne! - Abbie serdecznie mu współczuła.

- Nie możemy tego tak zostawić, musimy zostać i doprowadzić wszystko do porządku. Czuję się podle na myśl, że nie będziemy razem, dzieciaki chodzą z nosami na kwintę, Laurel wciąż popłakuje, ale naprawdę nie możemy przyjechać.

Abbie była zdruzgotana. Z trudem powstrzymywała się od płaczu.

- Posłuchaj, naprawdę bardzo chciałem przyjechać, zwłaszcza w sytuacji, gdy trzeba sprzedać ranczo. Wiem, co o tym sądzisz, ale John powiedział ci przecież o chorobie taty, więc rozumiesz, że nie ma innego wyjścia?

- Rozumiem.

- Nie chciałbym, żeby nas to poróżniło.

- Nie martw się - powiedziała z bólem.

- Jest jeszcze jeden powód, dla którego chciałem się z tobą zobaczyć. Chodzi o Lucky'ego. Wiesz, że go nie lubimy.
 - Bo go nie rozumiecie - zaproponowała zrozpaczona.
 - Ty też go nie rozumiesz - powiedział zagadkowo.
 - Nie chcę tego słuchać! Wystarczy, że nie przyjeżdżacie, czy jeszcze musisz pogarszać sytuację, gadając o nim?
 - Abbie, nie chciałbym, żebyś mnie znienawidziła...
 - Przecież wiesz, że to niemożliwe. Kocham cię.
 - Nie próbuj mnie przekupić słodkimi słówkami.
 - Dlaczego słowa „kocham cię” wypowiada się w tej rodzinie z taką trudnością? Co się z nami dzieje? - denerwowała się.
 - Abbie, najwyraźniej jesteś wytracona z równowagi. Lepiej zadzwonię później. Poproś do telefonu tatę.
 - Nie ma go w domu, jest u Hurleyów. Tu była burza śnieżna i drogi są nieprzejezdne.
 - Poproś, żeby zadzwonił, jak wróci.
 - Dobrze.
 - Abbie, może nie potrafimy tego wyrazić słowami, ale naprawdę martwimy się wszyscy o ciebie.
- Łzy kapąły jej z oczu. Nie mogła dłużej panować nad sobą, chociaż była zła, że się tak rozkleja.
- Och, nie płacz. Posłuchaj, wszystko będzie dobrze, naprawdę. Na razie nic na to nie wskazuje, ale przyrzekam ci to. Porozmawiamy później. Pa.
- Ale Abbie było już wszystko jedno, co Adon mówi.
- Do widzenia - powiedziała machinalnie, odkładając słuchawkę. Czuli, że Yates stoi w pobliżu.
 - Słyszałem - powiedział prawie szeptem. - Przykro mi.

Odwróciła się do niego. Wyczytała z jego oczu, że ma ochotę wziąć ją w ramiona. Wbrew własnej woli, pragnęła tego samego. Ale zła na siebie, szybko odrzuciła tę myśl.

- Zaprowadzę Frosty'ego do stajni - powiedziała, ocierając ręką łzy. - Muszę się stąd wynieść. Nie zostanę w tym domu minuty dłużej.

- Pomogę ci.

- Nie potrzeba mi pomocy. Niedobrze mi się robi na myśl o twojej zakichanej dobroci. Zostaw mnie w spokoju.

- Wyprowadzę go tylko, potem zostawię cię samą.

- Trzymam cię za słowo.

- Abbie, przykro mi, naprawdę. Ja zwykle nie...

- Przestań tyle gadać! - nakazała, czując, że łzy znów napływają jej do oczu.

Była tak wzburzona, że gdyby tylko wziął ją w ramiona, rozkleiłaby się zupełnie, wdzięczna za pocieszenie, nie zważając na konsekwencje. A potem z pewnością znienawidziłaby siebie za to.

Ale Yates nawet jej nie dotknął.

Siedząc na koniu i rozglądając się po terenie okalającym ranczo, Yates miał wrażenie, że cofnął się w przeszłość. Obcując z bezmierną zaśnieżoną przestrzenią, uświadomił sobie nagle, że mógłby powiedzieć Abbie całą prawdę.

Teraz wszystko wydawało się prostsze i prawdziwsze: przyjechał, żeby jej pomóc, nie żeby ją skrzywdzić. Nie mogła kochać Lucky'ego, nie wiedziała, kim jest naprawdę. Oszukiwała siebie, ponieważ Gibbs wykorzystywał jej naiwność i udawał, że zapewni jej życie, o jakim marzyła. On musi jej uświadomić, że wcale nie kocha tego chłopaka. Dopiero wtedy, gdy to zrozumie, przestanie cierpieć.

Wtedy wyjaśni sobie wszystko i jakoś dojdą do porozumienia. Na razie widział to raczej mgliście, pewien był tylko, że musi się wreszcie zdobyć na uczciwość wobec dziewczyny, a potem... do diabła, nie wiedział, co potem.

Gdy wrócił do domu, nic już nie wydawało się proste ani prawdziwe. Ona rzeczywiście kochała Gibbsa, nawet jeśli była to miłość oparta głównie na współczuciu. Nie mógł jej teraz powiedzieć prawdy, bo i bez tego przeżyła ostatnio zbyt wiele.

Demaskując Lucky'ego, zrobi jej wielką krzywdę.

Może ją oszczędzić tylko w jeden sposób: dając jej jeszcze trochę czasu. Potem zrobi, co do niego należy i zostawi ją.

Na razie pozostawało mu tylko łagodzenie sytuacji drobnymi gestami pomocy, jak chociażby odprowadzenie Frosty'ego do stajni. Jetta przyjęła źrebaka bez oporów. Obwąchała go dokładnie, ale nie wzbraniała się, gdy zaczął ssać.

Abbie z wdzięcznością pogłaskała Jettę po grzbiecie. Przyglądali się oboje karmieniu, nie odzywając się. Gdy wreszcie spojrzeli na siebie równocześnie, Yates dostrzegł w jej oczach przejmujący smutek i rozterkę. Odwrócił wzrok, nie mogąc znieść tego jej spojrzenia.

- Domyślam się, że chcesz być teraz sama - powiedział cicho.

Skinęła głowę, po czym podeszła do sterty siana, usiadła i patrzyła przed siebie w zamyśleniu. Pragnął powiedzieć jej coś na pocieszenie, ale nie znajdował odpowiednich słów.

Muszę się kontrolować, pomyślał wściekły na siebie. Przez całe życie udawało mu się panować nad emocjami, udawać twardziela. Teraz nakazywał to sobie kolejny raz, chociaż nigdy dotąd uczucia nie zawładnęły nim z taką siłą.

Wiatr hulał na zewnątrz, śnieg zgęstniał i ściemniło się zupełnie, mimo wczesnej pory. Zimna pusta przestrzeń Nebraski zdawała się kpić z silnych postanowień Yatesa.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Abbie długo siedziała w stajni, rozmyślając. Miała wrażenie, że coś w niej wygasło. Ranczo wkrótce zostanie sprzedane, tym bardziej więc zależało jej, żeby ostatnie spędzone tu Boże Narodzenie przebiegało w miłej, rodzinnej atmosferze. Tymczasem bracia kolejno powiadamiali ją, że nie przyjadą. Jedyne pocieszenie stanowiły dla niej marzenia o wspólnej przyszłości z Luckym.

Bolało ją, że rodzina nie akceptuje go. Nawet Yates był do niego wrogo usposobiony. Chwilami zaczynała powątpiewać w dobrą wolę narzeczonego, chociaż wolała nie dopuszczać takich myśli.

Yates, bez żadnego logicznego powodu, próbował w niej zasiać wątpliwości. A przecież zwątpienie mogło się okazać niebezpieczne, wręcz katastrofalne. Właściwie chciałyby, żeby jak najszybciej wyjechał.

Po powrocie do domu zajrzała do pokoju Adona, spodziewając się, że zastanie tam Yatesa. Serce zabiło jej mocniej na widok śpiącego mężczyzny. Brązowe ciało kontrastowało z białą pościeli. Wciąż wyglądał dla niej niemal egzotycznie i był niepokojąco pociągający.

Wycofała się do gabinetu. Pomyślała, że gdyby tylko udało jej się odnaleźć hasło, które odtworzyłoby dyskietkę ze spisem monet, Yates szybciej by wyjechał. Ta myśl zdwoiła jej zapał.

Mozolne poszukiwania wciąż nie dawały rezultatu, ale Abbie nie rezygnowała. Znała przecież dziadka lepiej niż ktokolwiek inny, wiedziała więc, że jeśli sama nie znajdzie hasła, nie uda się to nikomu.

Po kilku bezowocnych godzinach zaczęła odczuwać zniechęcenie, w końcu opadły ją pesymistyczne myśli, że nigdy jej się nie uda odszukać spisu w komputerze, że ojciec nie wróci do domu i że zostanie odcięta od reszty świata, sam na sam z Yatesem.

Zamknęła oczy i wtedy przypomniła sobie księżniczkę z bajki, której zadano niezwykle trudną zagadkę: miała odgadnąć imię złego elfa, bo jeśli tego nie zrobi, ten zabierze jej dziecko. Udało jej się, ponieważ myśliwy spotkał go w lesie, tańczącego radośnie i śpiewającego, że wkrótce zdobędzie dziecko, gdyż nikomu nie przyjdzie do głowy jego szczególne imię: Rumpelstiltskin. Kiedy myśliwy opowiedział o tym księżniczce, pokonała złego elfa, a ten ze złości kręcił się w kółko tak długo, aż przewiercił się przez podłogę i zniknął na zawsze.

Abbie najbardziej podobała się zawsze ta część bajki, w której elf ginie ze złości. Prosiła dziadka, żeby opowiadał ciągle od nowa, a on spełniał jej życzenie.

Na chwilę doznała olśnienia, ale zaraz w duchu zgromiła samą siebie. Niemożliwe, Rumpelstiltskin nie może być właściwym hasłem, bo hasło może mieć najwyżej siedem liter. Postanowiła jednak spróbować.

Wystukała słowo RUMPELS na klawiaturze i oniemiała z wrażenia. Na ekranie ukazał się szereg numerów i liter, składających się na długą listę. Abbie podskoczyła z radości na widok spisu kolekcji, którego Yates tak długo szukał.

Pierwsza kolumna opatrzona była tytułem: „Monety”, a w górnym rogu zapisano datę sprzed osiemnastu miesięcy, a więc tuż przed jej pierwszym spotkaniem z Luckym. Pod spodem przeczytała podtytuł: „Srebrne monety amerykańskie z lat 1779 - 1799”.

Podeszła do sejfu i wyjęła klasery. Dotykała ich po raz pierwszy od śmierci dziadka. Nagle zatęskniła za nim. Zaczęła porównywać zawartość klaserów ze spisem w komputerze. Nie byłaby w stanie dokonać wyceny monet, to zadanie zostawi Yatesowi. Znów pomyślała, że on wkrótce opuści ranczo, ale zaskoczona uświadomiła sobie, że zamiast się cieszyć, czuje w sercu dziwną pustkę i żal, że nie będą razem.

Zaniepokoiła się nagle, bo monety w klaserze nie odpowiadały tym w spisie. Im dłużej sprawdzała, tym bardziej upewniała się, że istnieje duża

niezgodność. Nie mogła odnaleźć najcenniejszej monety dziadka z 1796 roku. Zapamiętała ją w doskonałym stanie. Warta była ponad pięć tysięcy dolarów i dziadek nigdy by jej nie sprzedał. Zauważyła też brak innych cennych eksponatów.

Próbowała znaleźć jakieś wytłumaczenie: może oddzielił te najcenniejsze od pozostałych? Ale gdzie mógł je położyć?

Nagle dokonała innego wstrząsającego odkrycia: w małej kopercie na końcu klasera znalazła monetę, którą rozpoznała ze zdjęć. Był to srebrny dolar z 1794 roku, w idealnym stanie. Serce zaczęło jej bić, jak oszalałe. Wiedziała, że dziadek nigdy nie byłoby stać na taki okaz, wart około dwustu tysięcy dolarów, czyli więcej niż cała kolekcja starego Mylo. Skąd mógł ją mieć? I dlaczego zniknęły tamte monety? Coś tu nie grało, to nie ulegało wątpliwości.

Przypomniała sobie opowiadanie Yatesa o Claridge'u. Czy to możliwe, że została kupiona, bo pochodziła z kradzieży? Zrobiło jej się słabo. Kochała dziadka i nie dopuszczała do siebie myśli, że mógłby handlować kradzionym towarem. Wprawdzie pod koniec życia zdziwaczał, ale...

Wstała i znów zajrzała do sejfu w nadziei, że znajdzie to, czego brakuje w innym klaserze. Wtedy zauważyła kilka zawiniątek, które należały do Lucky'ego. Przypomniała sobie, o co ją prosił. Zaznaczał, żeby nic nie oglądała. Dlaczego?

Przyjrzała im się - były to zwykłe, zniszczone monety. Nie rozumiała, dlaczego Lucky trzymał je w sejfie. Zawsze interesował się kolekcją dziadka. Czyżby to było coś więcej, niż zwykła ciekawość?

Pełna nagłych podejrzeń, rozwinęła paczuszkę. Kiedy monety wysypały się na jej rękę, struchlała. Wśród zwykłych nikłówek znalazła ponad trzydzieści cennych monet, wartych co najmniej dziesięć tysięcy dolarów. To nie mógł być podarek dla dziecka Fettermana. Co Lucky knuł? W jaki sposób je zdobył? Zawsze twierdził, że nie ma pieniędzy, więc skąd nagle taka fortuna?

Abbie była roztrzęsiona. Nagle jej wzrok padł na okulary Yatesa na półce. Przypomniała sobie, że nie nosił ich od dwóch dni. Jak dawał sobie bez nich radę? Wzięła je teraz i spojrzała przez nie. Żadnej zmiany! To znaczy, że było to zwykłe szkło, a więc on wcale nie potrzebuje okularów. Widocznie udaje kogoś innego. Dlaczego?

Intuicja podsunęła jej przypuszczenie, że Yates od dawna podejrzewał coś w związku z kolekcją. Okłamywał ją, tak samo zresztą, jak jej ojciec. I obydwaj obarczali winą Lucky'ego. Zrobiło się jej słabo.

Nagle zobaczyła Yatesa, stojącego w drzwiach. Twarz miał spiętą, jakby wyczuwał jakieś niebezpieczeństwo.

- Abbie? Co robisz z moimi okularami? - zdziwił się. - Odłóż je.

- Kim ty jesteś? - wybuchnęła. - Po co tu przyjechałeś?

- Wycenić kolekcję, przecież wiesz - wzruszył ramionami.

- Kolekcja jest niepełna. Jednocześnie w sejfie są monety, których tam nie powinno być. Podejrzewałeś coś, prawda?

- O czym ty mówisz? Co się stało? Wskazała głową na komputer.

- Przeczytałam dane na dyskietce. Tej, która tak cię intrygowała.

- Co takiego?

Podbiegł do komputera z zapartym tchem.

- Udało ci się? Jak to zrobiłaś?

Próbował ująć jej rękę i przyciągnąć ją bliżej, ale odtrąciła go z furją.

- Nigdy się nie dowiesz - rzuciła ze złością, po czym podbiegła do komputera i wyłączyła go, zanim Yates zdołał ją powstrzymać.

- Abbie - szepnął zrozpaczony, podchodząc do niej ostrożnie.

Nagle dostrzegł srebrnego dolara z 1794 roku, leżącego obok klasera. Zobaczył też monety nikłowe. Abbie usiłowała go powstrzymać, gdy wyciągał po nie rękę, ale on był szybszy.

- Czy to przez cały czas było w sejfie? - zapytał. - Boże, więc Lucky był aż tak podły! Tutaj trzymał kradziony towar Claridge'a!

Abbie uparcie milczała. Cokolwiek by powiedziała, byłoby to kłamstwo albo kolejne oskarżenie Lucky'ego.

- Próbowałem ci powiedzieć o nim - zaczął się tłumaczyć.

- Kim jesteś? - powtórzyła pytanie. - Czego tu szukasz i po co nosisz okulary, skoro ich nie potrzebujesz? Po co ta cała komedia?

- Chciałem ci powiedzieć wcześniej - powtórzył.

- Nienawidzę cię - zawołała z pasją, celując w niego okularami. Uderzyły o kant biurka, posypało się szkło. - Mój ojciec zapewne wiedział, kogo i po co wpuszcza do domu. Wszyscy wiedzieli, oprócz mnie. To dlatego nikt nie przyjeżdża na święta. Boicie się mnie, bo ohydnie spiskowaliście przeciwko biednemu Lucky'emu?

- On wcale nie jest biedny, Abbie - ostro sprzeciwił się Yates. - Jest „Tyranem”, człowiekiem Claridge'a. Był kurierem, dostarczającym kradzione rzeczy i zwał z grubą forszą. Nikt ci o tym nie powiedział, bo nikt nie miał stuprocentowej pewności. Nie spiskowaliśmy. Rodzina nie chciała cię przestraszyć.

- Mnie... przestraszyć?

Yates podszedł do niej i chwycił ją za ramiona. Miała wrażenie, że ten dotyk poraża ją niczym prąd.

- Posłuchaj. Nie mogliśmy ci powiedzieć, bo na ile cię znam, ostrzegłabys go.

- On nic nie zrobił - protestowała nadal. - Musi być jakieś wytłumaczenie...

- Pewien facet z Teksasu twierdzi, że dostawał monety od Lucky'ego, który z kolei miał je od jakiegoś staruszka z Nebraski. Gibbs miał też inne źródła. Podejrzewaliśmy, że ma część łupu Claridge'a. Nie przypuszczałem, że będzie tak podły, by to trzymać tutaj. Ten dolar - wskazał na srebrną monetę z 1794 roku - też jest kradziony. Mogę ci powiedzieć, gdzie i kiedy został

zabrany. Poszukiwano go od dawna. Przykro mi, że się znalazł właśnie tutaj i że z winy Lucky'ego, ale taka jest, niestety, prawda.

- Nie wierzę ci! - krzychała, próbując powstrzymać łzy.

- Wszyscy próbowali cię ostrzec - przypomniał jej.

- Mylicie się! Co ty masz z tym wspólnego? Dlaczego nie zostawisz nas w spokoju? Co takiego on ci zrobił?

- To - wskazał na aparat słuchowy - zawdzięczam Lucky'emu. Przez niego nie mogę wykonywać swojego zawodu. Równie dobrze mógł mnie zabić. - Nie puszczając jej ramion, pochylił się, patrząc jej w oczy niemal z groźbą. - Zrozum wreszcie - nalegał. - To Lucky brał udział w strzelaninie, o której ci opowiadałem. On napadł na mnie zniemacka. Mamy przeciwko niemu niezbite dowody. On nie jest twoim dzielnym, pokrzywdzonym kowbojem.

- To wszystko nieprawda! - zawołała, próbując mu się wyrwać, aż ją puścił w obawie, że zrobi sobie krzywdę. - Jesteś z FBI? - zapytała z goryczą w głosie.

- Nie, byłem zwykłym tajniakiem, dopóki Lucky nie uszkodził mi słuchu.

- Zadzwoń do niego - powiedziała z determinacją. - Na pewno jest jakieś wytłumaczenie. Musi być!

- Nie możesz! Nie wolno ci! Z Hawajów Lucky może wszędzie uciec - powiedział, zagrażając jej drogę.

- Będziesz mnie musiał zabić, jeśli chcesz mnie powstrzymać! Zadzwoń i już!

- Abbie, proszę, nie rób tego. On może uciec...

Ale nie próbował jej już powstrzymać. Na wpół nieprzytomna ze strachu i złości, podbiegła do telefonu. Drżącymi palcami wykręciła numer do informacji i zapytała o telefon na farmę Fettermanów na Hawajach. Miała wrażenie, że upłynęła wieczność, zanim poproszono Lucky'ego. Yates stał przez cały czas w drzwiach i przyglądał się jej z tajemniczym wyrazem twarzy.

- Kochanie - odezwał się Lucky pogodnym tonem - co się stało? Właśnie o tobie myślałem. Czy wysłałaś mi te monety? Tyle zawdzięczam tym ludziom, chciałbym się zrewanżować chociaż tym drobiazgiem dla ich dziecka. Tu jest tak pięknie, kochanie, musimy tu kiedyś przyjechać razem, jeśli kiedykolwiek będzie mnie na to stać...

Abbie zamknęła oczy. W głowie jej huczało. Okłamywał ją bezczelnie. Robił to z taką swadą! Czowała się okropnie.

- Lucky, oglądałam te monety... - zaczęła. Wydawało jej się, że musi być do końca uczciwa.

Jemu wolno ją oszukiwać, ale jej - nie.

- Co takiego? - zawołał przerażony.

- Obejrzałam je - powtórzyła. - I jeszcze jedno, Lucky. Jest u nas pewien człowiek. Powiedział, że przyjechał, żeby wycenić kolekcję, ale on...

- Co ty opowiadasz! - przerwał jej. - Twój ojciec zapewniał, że kolekcja będzie wyceniana dopiero po sprzedaży rancza. Okłamał mnie. Po co tam teraz ktoś węszy? Dlaczego dopiero teraz mi o tym mówisz? Nie rozmawiaj z tym facetem, Abbie. Spław go jakoś. Natychmiast! Nieważne, jak to zrobisz, ale odpraw go!

- Już za późno - powiedziała. - Lucky, tu się dzieje coś dziwnego. Są braki w kolekcji dziadka...

- Dał mi kilka monet - skłamał gładko. - Dla nas, na naszą wspólną przyszłość. To miała być niespodzianka. Nie chciał, aby reszta rodziny o tym wiedziała.

Jak on umie łączyć, pomyślała zrozpaczona. Dlaczego wciąż jeszcze nie daje za wygraną? Jak to się stało, że dotychczas się nie zorientowała?

- Posłuchaj - drążyła dalej. - Są w kolekcji dziadka monety, które nie wiem skąd pochodzą, na przykład srebrny dolar z 1794 roku...

- Jest mój - przerwał jej pośpiesznie. - Ale to falsyfikat. Przyślij go razem z tamtymi, znajdziesz jeszcze parę innych... Najlepiej będzie, jeśli przyślesz je

wszystkie, żeby się nie pomieszały z własnością dziadka. Dam ci listę i prześlesz je ekspresem. Ale najpierw... pozbądź się tego faceta!

- Lucky, on mówi o jakimś Claridge'u. I o strzelaninie. I...

- Kochanie, pozbądź się go! Twój ojciec coś knuje. Już ja go znam.

Przyślij mi te monety i nikomu nic nie mów. Posłuchaj, mam pomysł. Jak tylko otrzymam od ciebie to wszystko, spieniężę najcenniejszą część i sprowadzę cię tutaj. Mogę sobie załatwić robotę na jakimś ranczu. Co sądzisz o ślubie na Hawajach, kochanie? Tylko przyślij mi to!

- Nic ci nie wyślę! - powiedziała, rzucając słuchawkę.

Yates nie spuszczał z niej oka, ale był opanowany.

- Jednak uznałaś, że musisz to zrobić, że jesteś mu to winna - powiedział.

- Chyba masz rację - stwierdziła z godnością. - To był mój obowiązek wobec niego.

- Domyślałem się, że tak to pojmujesz.

- Muszę wyjść - powiedziała, usiłując zapanować nad emocjami. - Zajrzę do Frosty'ego. Nie chodź za mną. Wyjedź jak najszybciej. Mam nadzieję, że już nigdy cię nie spotkam.

Poszła do kuchni i ubrała się. Yates przyglądał się jej z kamiennym wyrazem twarzy.

- Abbie, daj mi to hasło. Potem wyjadę najszybciej, jak będę mógł.

Owijała właśnie machinalnie szalik wokół szyi. Przerwała, wahając się przez chwilę, patrząc mu prosto w oczy. Miała kompletną pustkę w sercu.

- Rumpels. Masz hasło i wynoś się stąd. Może chociaż raz jakiś mężczyzna dotrzyma słowa.

Odwróciła się i wybiegła. W stajni rzuciła się na stertę siana i szlochała dopóty, dopóki nie zmożył jej sen.

Obudził ją ojciec.

- Abbie - usłyszała. - Chodź do domu. Zamarzniesz tutaj.

Objął ją, ukryła twarz w fałdach jego kurtki.

- Przykro mi z powodu Lucky'ego. Nie mogliśmy ci powiedzieć, bo gdyby nasze podejrzenia nie potwierdziły się, nigdy tego byś nam nie wybaczyła.

- Nie przypuszczałam, że on może być taki... - nie mogła znaleźć właściwego słowa. - Oszukiwałam sama siebie. Może po prostu chciałam być zakochana, więc udawałam, że jestem, a potem byłam zbyt uparta, żeby się wycofać.

- Nie płacz już. Jestem pewny, że szybko zapomnisz o tym nędznym kowboju - pocieszał ją ojciec.

Odwróciła głowę, czując się winna z powodu własnego zaślepienia i uporu.

- Byłam idiotką.

- Wszyscy popełniamy błędy. Ja też, nawet wobec ciebie. Ale nikt z nas nie chciał cię skrzywdzić. Tylko zupełnie nie wiedzieliśmy, co zrobić. Twoi bracia troszczą się o ciebie, przecież wiesz.

- Tak - przyznała, nie patrząc na niego. - Teraz rozumiem, dlaczego tak źle o nim mówiliście. Doceniam to, co zrobiliście. I kocham was wszystkich.

- Chodź do domu - prosił Frazier. - Connley wyjeżdża. Nie potrzebował ślęczeć zbyt długo przy komputerze, by znaleźć dowody obciążające Lucky'ego.

- Nie chcę go widzieć - powiedziała stanowczo.

- Ależ, Ab - ojciec nachmurzył się. - Nie obwiniaj go. On tylko wykonywał swoją pracę. Poza tym, musiał wyrównać dawne porachunki z Luckym. Nie bądź uparta, Yates czuje się niezręcznie...

- Ostrzegłam Lucky'ego - powiedziała tonem winowajczyni. - Nie powinnam była. Ale musiałam mu dać szansę obrony, po prostu musiałam. Jeśli ucieknie, to przeze mnie.

Frazier zawahał się, zanim powiedział jej prawdę.

- On nie uciekł. Connley natychmiast powiadomił odpowiednie władze na Hawajach. Złapali go, gdy wsiadał do samolotu lecącego na Samoa.

Nie zrobiło to na niej najmniejszego wrażenia, aż się dziwiła. Zupełnie, jakby Lucky Gibbs nigdy nie istniał naprawdę. Był tylko widmem, może czarującym, ale nikim więcej, a ona uległa iluzji. Nigdy nie mogłaby pokochać go takiego, jakim był naprawdę. Ale z Yatesem i tak nie chciała się zobaczyć.

- Nie pójdę do domu, dopóki on tam jest - twierdziła uparcie.

- Ależ, Abbie, to dziecinada. On musiał tak postąpić i, niezależnie od wszystkiego, jest mu niezręcznie.

- Nie prosź mnie o to, tato - powiedziała, klękając obok Frosty'ego. - Zgodziłam się na wszystko inne: sprzedaż rancza, spędzenie świąt bez braci, przyjąłam nawet prawdę o Luckym, więc chyba mogę cię prosić o to jedno małe ustępstwo?

- Dobrze, już dobrze - poddał się.

Spojrzał jeszcze na nią, jakby chciał coś dodać, ale odwrócił się i wyszedł.

Niecałą godzinę później drzwi stajni zaskrzypiały i Abbie ujrzała w nich Yatesa. Napelniała właśnie zółb Jetty i udała, że jest całkowicie pochłonięta pracą. Zbliżył się do przegrody i przypatrywał się posepnie.

- Mówiłam, żebyś tu za mną nie przychodził - rzuciła ze złością.

- Chcę ci tylko coś powiedzieć.

- O co chodzi? Chcesz mi powiedzieć, jak się rozkoszujesz słodką zemstą teraz, gdy złapałeś winnego?

- Nie uwierzysz, ale wcale nie jestem szczęśliwy z powodu tego, co się stało. I wiem, dlaczego nie chcesz mnie widzieć...

- Czyżby? Więc wiesz, że mam dość kłamstw ze strony mężczyzn, bez względu na to, jakimi przesłankami się kierują. Ciebie to też dotyczy.

- Akurat w stosunku do mnie mylisz się - powiedział z goryczą.

- A to niby dlaczego? - zapytała wyzywająco. Podeszedł bliżej. Ręce trzymał w kieszeniach, ale

Abbie miała wrażenie, że ta bliskość niesie jakiś niepokój.

- Odkąd tu przyjechałem, wiele przeżyłaś. Jest jeszcze jedna sprawa, która może cię wprawić w zakłopotanie. - Podeszedł jeszcze bliżej, ale wielkim wysiłkiem woli zatrzymał się. - Pewien mężczyzna gorąco pragnie ci powiedzieć coś, co ty mówiłaś wszystkim, oprócz niego. Kocham cię, Abbie.

Patrzyła na niego, jak zahipnotyzowana, a serce jej przepęłniła radość.

- Może mówię to w niewłaściwym czasie, może w ogóle nie powinienem, jestem zapewne egoistą, ale chcę, żebyś o tym wiedziała.

Potrząsnęła głową, jakby chciała zaprzeczyć jego słowom.

- Chcę, żebyś wiedziała, że jeżeli ze sposobu, w jaki z tobą rozmawiałem, lub na ciebie patrzyłem, domyśliłaś się, że cię pragnę, to była prawda. Ale niczego nie robiłem po to, aby wydobyć z ciebie potrzebne mi informacje. Moje słowa były często kłamliwe, ale uczucia - nigdy.

To, co powiedział, wstrząsnęło Abbie. Lucky ciągle prawił jej czułe słówka, przychodziło mu to z niezwykłą łatwością, ale nikt nigdy nie wyznawał jej uczuć z taką powagą.

- Lucky był głupcem, Abbie. Gdybyś kochała mnie, nie jego, nigdy bym cię nie zawiódł. Prędzej bym umarł.

Nie mogąc już dłużej kryć wzruszenia, postąpiła krok naprzód.

- Nie rób tego - powiedział żarliwie. - Chyba że naprawdę chcesz się znaleźć w moich ramionach. Nie zbliżaj się, jeśli nie chcesz...

Patrzyła na niego zmieszana. Po tym wszystkim, co razem przeżyli, nie powinna się do niego zbliżać, ale ruszyła niepewnym krokiem, wahając się.

- Abbie? - W tym krótkim pytaniu zawarł wszystkie wątpliwości.

Nie mogła wydobyć z siebie słowa. Patrzyła mu jednak prosto w oczy, wreszcie skinęła głową.

Porwał ją w ramiona i trzymał mocno, wtulając twarz w jej włosy.

- Och, wydaje mi się, że kochałem cię już w chwili, gdy cię ujrzałem po raz pierwszy.

Chciał tylko przytulić Abbie, ale w chwilę później całował ją nieprzytomnie. Zarzuciła mu ręce na szyję i odwzajemniała pocałunki z żarliwą namiętnością. Nie miała wątpliwości, że to, co do niego czuje, jest wreszcie prawdziwą, gorącą miłością.

- Nie chciałem się do tego przyznać, ale kiedy do niego zadzwoniłaś, żeby go ostrzec, wiedziałem, że cię Kocham. Nie mogłem cię powstrzymać, żeby cię nie skrzywdzić. Zemsta była mniej ważna, nawet sprawiedliwość znaczyła mniej niż ty.

- Ja też udawałam wobec samej siebie, że nic do ciebie nie czuję. Ale kiedy dawałam ci hasło, wiedziałam na pewno, że nie Kocham Lucky'ego, chociaż miłość do ciebie przeczy wszelkiej logice.

- Zwłaszcza że ja też cię okłamywałem.

- Ale to, co robiłeś świadczyło na twoją korzyść. Byłeś taki silny i dobry, mogłam na tobie polegać.

Całował ją delikatnie, a ona drżała ze wzruszenia.

- Mam pieniądze w banku - powiedział po chwili. - Nie obchodzą mnie twoje pieniądze. - Nie chcę inwestować w żadne systemy alarmowe, grać w golfa, ani uprawiać joggingu. - Cofnął się o krok, aby móc jej spojrzeć w oczy. - Kupię to ranczo. Ciekawe, co twój ojciec na to powie?

- Ranczo? Nasze ranczo? - nie posiadała się ze zdziwienia.

- Dlaczego nie? Jesteś tu szczęśliwa, ja też odnalazłem tutaj swoje szczęście. Lubię pracować fizycznie, Abbie. Nie było moim przeznaczeniem siedzieć za biurkiem, ani martwić się o udziały w jakiejś firmie, czy uganiać się po polu golfowym. Wychowałem się na wsi. Odpowiadało mi to. Przekonałem się, że nadal to lubię. Chyba więc powinniśmy właśnie tutaj pozostać?

- Och, Yates - szepnęła ze łzami w oczach. - Zrobiłbyś to dla mnie?

- Zrobiłbym dla ciebie wszystko - zapewnił i pocałunkiem przypieczętował obietnicę.

Frosty uniósł głowę i zarżał cichutko, jakby się złościł, że zakłócają mu spokój. Ale tym razem Abbie zignorowała go. Wszystko, co ją niepokoiło, przemieniło się w wielkie szczęście.

Gdy utonęła w ramionach Yatesa, wydawało jej się, że miłość przepelnia jej serce, ogarniając swym bezmiarem całą przestrzeń Nebraski.



RS